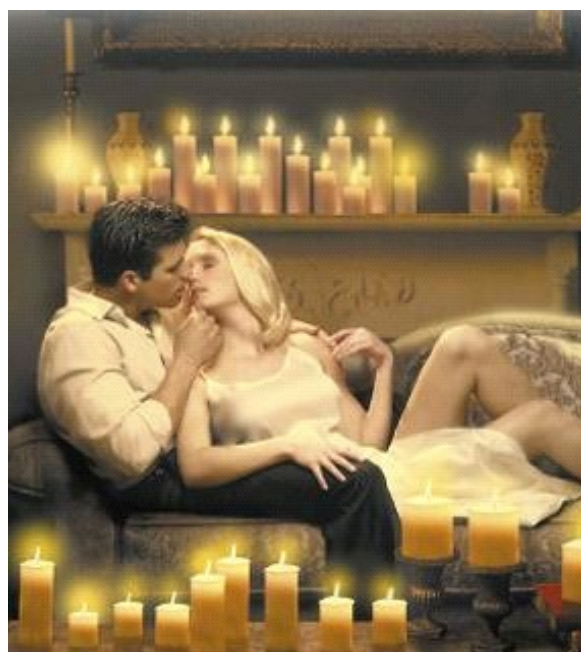




Mia Zachary



Taniec duszy

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Sisi, nie wyglądasz wcale na sukę.

- Słucham?

Zaskoczona Siobhan Silverhawk zamruwała i spojrzała na sześciolatka, który przyglądał się jej w skupieniu.

- Benjaminie Josephie...

Ojciec chłopca, John Bradley Pendelton, skrzyżował ręce na piersi. Ten dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna o orzechowych oczach miał coś władczego w spojrzeniu i swoją postawą mógł budzić strach i szacunek. Chłopiec jednak najwyraźniej nie przejął się reprimendą ojca.

- No co? Przecież mama zawsze mówiła o niej, że jest suką, która za pomocą magii kradnie serca mężczyzn - wyjaśnił chłopiec beztrąsko. - A sam rozumiesz, wolałbym wiedzieć, czy to jest prawda, bo jestem mężczyzną i potrzebuję swojego serca i...

- Wystarczy, Ben. Nie chcę więcej słyszeć takich słów. A teraz przeproś Siobhan.

- Sorki - mruknął chłopak, ale wyraz jego twarzy wyraźnie wskazywał, że nie bardzo rozumiał, za co ma przeproszać. - To jak? Jesteś... No wiesz.

- Jestem czarodziejką. - Potargła fryzurę Bena. - I tego się trzymajmy, dobrze?

- Na żadną wiedźmę też nie wyglądasz. Wiesz, nie masz szpiczastego kapelusza, zielonej skóry ani nawet macek.

J.B. zaśmiał się.

- Macek?

Ben pokiwał głową.

- No tak. Widziałem w „Małej syrence”. Tamta czarownica wyglądała jak

ośmiornica.

Policzki Siobhan oblał rumieniec, gdy spostrzegła, że J.B. przesunął wzrokiem od jej stóp aż po uda chowające się pod letnią sukienką.

- Ani śladu macek - ocenił.

- Zielonej skóry też nie stwierdzono - uzupełniła. - Aczkolwiek pochodzę z rodziny o naprawdę silnych właściwościach magicznych.

John Bradley odchrząknął i spojrzał poważnie na Siobhan.

- Wiem, że odgrywasz tę rolę przed turystami, ale powiedziałem Benowi całą prawdę.

- Którą prawdę? - Spojrzała na niego pytająco, choć doskonale znała odpowiedź.

- Tę, że czarodziejki i duchy występują tylko w filmach, a czary ograniczają się do kilku sztuczek podczas imprez urodzinowych.

Ben przechylił głowę i spojrzał badawczo na czarodziejkę.

- Sisi, jak to możliwe, że nigdy nie widziałem, byś robiła sztuczkę z kartami czy ze znikającą monetą?

- Niedługo rozpocznę pokazy w Las Vegas.

Mówiła to wszystko bez troski i bez sarkazmu w głosie. Zdawała sobie sprawę, że ani chłopiec, ani jego tata nie mają pojęcia, jak ich bezceremonialne uwagi na temat magii ją ranią. Wiedziała, że jej zdolności szwankują i cierpiała z tego powodu na kompleks niższości.

Jej rodzina słynęła z rozległej wiedzy na temat uleczenia wszelkich chorób oraz przewidywania przyszłości. Siobhan pochodziła w prostej linii z rodu wielkiego czarodzieja Taliezara ze strony matki oraz legendarnego szamana Kroczącego z Piorunami ze strony ojca. Doświadczenie i wiedza, wynikające z połączenia tych dwóch rodów, powinny zostać odziedziczone przez Siobhan. I choć obie jej siostry, starsza Sian oraz młodsza Shona, posiadały zdolności magiczne, to ona została ich pozbawiona.

Marzyła o tym, by leczyć ludzi. By zostać tradycyjną szamanką Dne, tak jak kobiety z rodu jej ojca. Pragnęła łagodzić ból, leczyć rany i zapobiegać chorobom. Niestety, pragnienia nijak się miały do przeznaczenia. Zdawała sobie sprawę, że nie można wyleczyć wszystkich, ale najbardziej bolało ją, że w ogóle nie była w stanie kogokolwiek wyleczyć. A przynajmniej nie za pomocą magii.

Żyła jednak nadzieją. Jeśli czarodziejka nie posiadała mocy do dwudziestego piątego roku życia lub ją utraciła, mogła udać się do Ośrodka Zdrowia dla Magów po pomoc.

I dlatego właśnie Siobhan przyjechała do pustynnego miasteczka Sedona. Było to miejsce magiczne, wręcz naładowane mocą. Spotkać tu można było zarówno zwolenników starej szkoły magii, jak i wyznawców współczesnego mistycyzmu. Wszyscy byli mile widziani, a biuro podróży służyło pomocą każdemu, kto przybył do Sedony, by poszukiwać tego, co utracił. Lub tylko przed nim się ukryło.

Choć Siobhan miała jedynie poziom nowicjuszek, to pięć lat poświęconych nauce w Centrum Magii dawało jej przywilej uczęszczania na seminaria przeznaczone dla powołanych. Prawdę mówiąc, chodziła na wszystkie możliwe zajęcia, ale mimo dziedzictwa oraz ogromnego zaangażowania w naukę, nie objawiała najmniejszych choćby zdolności magicznych.

Nauczyciele zarzekali się, że posiada dar, ponieważ jednak nie chciał się ujawnić, Siobhan obawiała się, że nie dane będzie jej ukończyć nauki i Strażniczka Regina St. Lyon wreszcie wydali ją ze szkoły, a przy jej nazwisku na zawsze pozostanie adnotacja „przeciętna”. Zaczęła powoli godzić się z myślą, że nawet jeśli ma ów dar, to czary nie są jej pisane.

Dlatego też poświęciła się całkowicie studiowaniu zielarstwa i tworzeniu balsamów, kremów i olejków, które na swój sposób również leczyły. Luminous,

jej sklepik z tymi specyfikami, oblegany był głównie przez urlopowiczów. Klienci twierdzili, że w buteleczkach i fiolkach musi skrywać się jakaś magia, ale Siobhan czuła się jak oszustka.

Sięgnęła do koszyka i wyjęła duże czerwone jabłko. Wyciągnęła rękę do Bena i spojrzała na niego przebiegle.

- Czy dasz się skusić, mój drogi?

- Jasne, dzięki. - Błyskawicznie odgryzł potężny kęs.

Uśmiechnęła się w duchu i pomyślała, że Ben najwyraźniej nie oglądał jeszcze „Śpiącej królowny”.

- Wiesz co, tato? Z tymi duchami to się mylisz. Mama cały czas mnie odwiedza.

Zauważyła grymas bólu i smutku na twarzy J.B. Szybko jednak odgonił złe myśli i uśmiechnął się niepewnie.

- Fajnie jest sobie wyobrażać różne postacie, ale duchy nie istnieją - powiedział łagodnie.

- Istnieją - nie dawał za wygraną Ben. - Słyszałem, jak babcia mówiła, że nie jest zaskoczona moim pojawieniem się, ponieważ rozmawiałaś ze swoją prababcia, kiedy zmarła na atak serca i...

- Hej, kolego. Wystarczy - przystopował syna. - Porozmawiamy sobie o tym później, dobrze? A teraz przejdź się trochę, a przy okazji wybierz prezent na urodziny cioci Lissy.

- Dobra. Wybiorę najładniejsze fioletowe rzeczy, jakie znajdę.

Roześmiany pobiegł w stronę koszy i półek z różnymi skarbami, a J.B. westchnął ciężko, patrząc za nim.

- Nie pogodził się jeszcze, prawda? - spytała po chwili.

- Nie rozumiem tego wszystkiego - odparł cicho. - Gabrielle odeszła prawie dwa lata temu. - Zatraskany obserwował syna, który szukał fioletowych drobiazgów.

- Wiesz, taka strata w tak młodym wieku...

- Jasne, wiem. - Ton jego głosu wyrażał jednocześnie zniecierpliwienie, jak i zrozumienie. Musiał to słyszeć setki razy. - Nie to jednak miałem na myśli. Smutek i tęsknotę potrafię sobie wytłumaczyć, ale do niego nie dociera, że ona nie żyje.

Smutek wypełnił jej serce. Bardzo im współczuła. Pijany kierowca jedną głupią decyzją sprawił, że J.B. został wdowcem i samotnym ojcem. Obaj bardzo cierpieli, ale jemu łatwiej było zrozumieć pewne sprawy. Poza tym miał się kim opiekować.

Natomiast Ben tęsknił za mamą i rozmawiał z nią niemal codziennie, obstając przy tym, że go odwiedza i ma się dobrze.

Siobhan przypomniała sobie, skąd obaj znaleźli się w Sedonie. Były kolega z wojska zaoferował J.B. odkupienie części udziałów w agencji turystycznej Airstar. Ojciec Bena potraktował to jako dar od losu. Liczył na to, że ucieczka z miejsca pełnego wspomnień dobrze zrobi im obu. Przenieśli się do Sedony, ale ku rozpaczy J.B. nic się nie zmieniło. Mieszkanie w miejscu tak silnie związanym z magią nie ułatwiało Benowi powrotu do rzeczywistości.

Pełna współczucia dotknęła jego ręki.

- Tak naprawdę nie mam pojęcia, przez co przechodzisz - powiedziała łagodnie. - Nigdy nie straciłam nikogo, kogo bym kochała. Wiem, że chodzicie do psychologa, ale może Ben potrzebuje tych rozmów z mamą.

- Pewnie masz rację. Jestem w stanie to zrozumieć, ale problem w tym, że ta „jego mama” zaczyna za bardzo ingerować w jego życie.

- Co to znaczy?

Podrapał się po karku i upewnił, że syn ich nie słyszy.

- Ben z nikim się nie przyjaźni. Koledzy ze szkoły twierdzą, że jest jakiś dziwny i śmieją się, że rozmawia z niewidzialnymi postaciami. Poza tym zaczął niszczyć lub wynosić rzeczy z domu. Kiedy próbowałem z nim o tym

porozmawiać, twierdził, że to wszystko zrobiła ona.

- A co na to lekarz?

- Mówi, że to naturalne i na pewno minie. Tłumaczy to młodym wiekiem i nieumiejętnością poradzenia sobie ze stratą matki.

Uśmiechnęła się do niego ciepło, ale poczuł rozczarowanie, że nie dotknęła go znów. Za pierwszym razem wstrząsnął nim dreszcz, jakiego już dawno nie doświadczył.

- Dzieci często mają wymyślonych przyjaciół, ale później z tego wyrastają. I potem wszystko się układa - próbowała go pocieszać.

Dostrzegł zmieszanie malujące się na jej twarzy, potem uśmiechnął się szeroko.

- Mówisz o sobie?

- Prawdę mówiąc, mam takie trzy przyjaciółki - Florę, Niezabudkę i Hortensję.

- Fajne imiona.

- To wróżki ze „Śpiącej królowny”, mojej ulubionej bajki - wyjaśniła, choć rumieniec oblał jej policzki.

Podszedł do niej. Podekscytowana i jednocześnie zdenerwowana jego bliskością, rozchyliła wargi i przyglądała mu się spod zmrużonych powiek. Była wysoką i wysportowaną kobietą. Długie czarne włosy były proste jak drut i spływały na ramiona. J.B. pomyślał, że patrząc na nią z daleka, można było pomyśleć, iż jest indiańską księżniczką. Z bliska jednak na pierwszy plan wysuwały się jasna karnacja i zielone oczy, dziedzictwo po celtyckich przodkach.

Jej reakcja na jego bliskość sprawiła mu przyjemność. Zniżył głos i spytał:

- Czy mogę wyjawić ci sekret?

- Oczywiście - odparła, z trudem powstrzymując drżenie kolan.

- Też miałem wyimaginowanego przyjaciela - wyszeptał.

Ekscytacja ulotniła się w jednej chwili. Siobhan przewróciła oczami i spojrzała na niego z politowaniem.

- Jasne. Na pewno.

- Naprawdę. Pochodzę z wojskowej rodziny. Za każdym razem, gdy się z kimś zaprzyjaźniłem, zaraz się przenosiliśmy. Nie ułatwiało mi to życia. I pewnie dlatego zawsze był ze mną Superpies.

Siobhan spojrzała na niego z rozbawieniem, ale widząc poważną miną J.B., powstrzymała się od śmiechu.

- Superpies, powiadasz...

- No co? Tata nigdy by nam nie pozwolił na prawdziwego psa, a taki Superpies był o wiele lepszy od pluszowego misia.

Kiedy nie mogła już powstrzymać śmiechu, J.B. pomyślał, że to najbardziej uroczy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszał. Musiał przyznać przed samym sobą, że zwrócił uwagę na ten melodyjny śmiech już pierwszego dnia, kiedy razem z Benem wprowadzili się do sąsiedniego domu.

Siobhan była dobrą sąsiadką i wspaniałą opiekunką dla Bena, kiedy kilka razy zdarzyło się, że J.B. wrócił później. Lubił ją rozbawiać i rozmawiać na różne tematy. Zauważył jednak, że choć jest uprzejma, to poza kawą i rozmową nie mógł liczyć na nic więcej.

Spostrzeżenie to nie przeszkodziło mu w dalszych staraniach.

- Jestem gotów pomyśleć, że rzuciłaś na mnie czar - odezwał się po chwili. - Ale z drugiej strony jesteś zbyt piękna, żebyś mogła być wiedźmą.

Ku jego zaskoczeniu, spojrzała na niego koso.

- Naprawdę myślisz, że wszystkie kobiety parające się magią muszą być brzydkie, pomarszczone i garbate?

- Jeśli o ciebie chodzi, wyglądasz akurat na taką kobietę, jaką jesteś - rzucił wesoło. - Niebywale piękną i pociągającą.

Sądząc po jej minie, domyślił się, że nie jest zachwycona.

Mimo to przechyliła zalotnie głowę i uśmiechnęła się. Nim jednak odpowiedziała, dobiegł ich krzyk Bena:

- Tato! Chodź mi pomóc. J.B. puścił oko do Siobhan.

- Wybacz mi na chwilę.

Pomyślała, że jedynym powodem, dla którego cieszyło ją, że na chwilę odszedł, była możliwość pogapienia się na jego tyłek. Musiała przyznać, że prezentował się doskonale. Westchnęła ciężko i odwróciła głowę od tego kuszącego widoku.

Wzrok przeniosła na swoją przyjaciółkę i współpracowniczkę ze sklepu.

Westchnęła raz jeszcze, tym razem na widok nowego koloru włosów V'Lerii.

- Wyjaśnisz mi kiedyś, dlaczego jeszcze nie wyrwałaś tego ciacha?

Siobhan groźnie spojrzała na przyjaciółkę.

- Cii - syknęła. - Val, przestaniesz wreszcie? V'Leria stuknęła ją łokciem w bok.

- A czy ty wreszcie kiedyś zaczniesz? Nie muszę ci chyba wiecznie przypominać, że masz za sąsiada kawał świetnego faceta. Co więcej, on na ciebie leci. Flirtuje z tobą przy każdej możliwej okazji. Na co ty czekasz, dziewczyno?

Na akceptację? - spytała się w duchu. Na kogoś, kto we mnie uwierzy, szczególnie kiedy mi samej coraz trudniej to przychodzi.

Pomyślała, że wszystkie jej poprzednie związki przynosiły w końcu jedynie ból. Czarodzieje, z którymi chodziła, nie mogli znieść myśli, że nie posiada mocy. Obawiali się, że mogłyby to odziedziczyć także ich dzieci. Z kolei zwykli mężczyźni nie potrafili pogodzić się z faktem, że była czarodziejką.

Nikom nie przeszkadzało, gdy udawała, że umie czarować lub robiła pokazy dla turystów. Co innego jednak zadawać się z prawdziwą, rzucającą

uroki wiedźmą. Najwyraźniej J.B. myślał tak samo. Często latał helikopterem przez najbardziej niebezpieczne wąwozy i kaniony, lecz jego odwaga nie obejmowała zjawisk nadprzyrodzonych. A szkoda...

Był bardzo seksownym i wesołym facetem. Miał cudowne orzechowe oczy i przeuroczy, chłopięcy uśmiech. Na jego muskularne ciało, skryte pod wojskową koszulką, mogła patrzeć bez ustanku. Musiała przyznać, że bardzo go lubiła i kusiło ją, by sprawdzić, gdzie ta sympatia mogłaby ich zaprowadzić.

Powstrzymywał ją jednak fakt, że byli sąsiadami - no i że był Ben. Obserwowała ich obu, kiedy wspólnie spędzali czas na podwórku, i bała się wejść między nich. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, iż J.B. ma wiele trosk na głowie. A ona także miała bagaż niewesołych doświadczeń. Uważała, że nieuczciwie by było, gdyby obarczała go również swoimi problemami.

- J.B. flirtuje z każdą napotkaną kobietą, Val - ucięła Siobhan, patrząc na tatę Bena, który właśnie otwierał drzwi jakiejś staruszce. - Widzisz, co mam na myśli?

Val oparła dłoń na nagim biodrze i westchnęła.

- Mnie nie zaczepia - poskarżyła się. - Nie nachyla się nade mną, nie patrzy mi w oczy, nie szeptce do ucha.

Siobhan powstrzymała się od komentarza, że temu ostatniemu wcale się nie dziwi, bo mnogość kolczyków, które nosiła Val, skutecznie utrudniała odnalezienie jej ucha.

- To w sumie bez znaczenia - powiedziała.

- Nie ma sensu zwracać na siebie uwagi, kiedy J.B. ma pełne ręce roboty z małym, zagubionym chłopcem.

- Jasne, skarbie - zadrwiła Val. - Tłumacz sobie dalej, że to dzieciak cię powstrzymuje. - Poklepała ją po ramieniu i ruszyła w stronę klienta, który właśnie wszedł do sklepu.

Siobhan zignorowała jej uwagi i uśmiechnęła się do J.B. oraz Bena,

którzy wrócili z koszem pełnym zapachowych świeczek i kulek do kąpielni.

- Widzę, że znaleźliście coś odpowiedniego.

- Tak, Sisi. Ciocia Lissa będzie teraz ślicznie pachniała.

Stała przy ladzie, żeby zapakować prezent.

J.B. podszedł do niej i nachylił się, by powąchać jej włosy.

- Ty też ślicznie pachniesz - powiedział.

Serce zabiło jej mocniej. Zachłysnęła się jego bliskością, ciepłem, zapachem. Zapragnęła dowiedzieć się, jaka jest jego skóra. Chciała go dotknąć, obejrzeć i poczuć. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby jej dotykał. Jak by smakował... Wzdrygnęła się, przystopowała myśli.

- Potrzebujecie coś jeszcze? - Odsunęła się od J.B.

- Pić mi się chce - oświadczył Ben.

Zdławiła śmiech i poczuła ukłucie zazdrości, że dzieci potrafią w tak bezpośredni sposób mówić o swoich potrzebach. Rzuciła okiem na B.J., a następnie wyciągnęła rękę do Bena.

- Chodź, młody człowieku. Podejźmy do baru i zobaczymy, co tam mamy dla ciebie.

- Może sok jabłkowy, co, kolego? - zaproponował J.B.

Ben tylko prychnął lekceważąco i zaczął uważnie studiować menu.

- Co to jest? - Podrapał się po czole, próbując rozszyfrować trudny wyraz.

- Co to jest „Zastrzyk Mocy”?

- To mikstura z różnych soków owocowych i mieszanki ziół. - Sięgnęła po dzban.

- Coś jak eliksir magiczny? - spytał chłopiec.

- Coś w tym stylu. W ogóle te wszystkie soki mają sprawić, żebyś czuł się dobrze i był pełen energii. Można je podawać również jako zmrożony koktajl mleczny. - Złożyła ręce na piersi i przybrała bardzo zakłopotaną minę. - Sama nie wiem, co lepsze.

W oczach chłopca błysnęły ogniki.

- Chcę koktajl! - krzyknął.

- Maniery, młody człowieku.

Ben westchnął, ale zaraz się poprawił.

- Proszę. Pomarańczowy, Sisi, dobrze?

- Już się robi, proszę pana! - Napełniła dzban kostkami lodu, wlała sok pomarańczowy i mleko. Dodała melisę, a następnie włączyła mikser. - A czego ty sobie życzysz? - Spojrzała na J.B.

- Czy czarownice nie powinny warzyć swoich mikstur w specjalnych kotłach? - droczył się. - Przy pełni księżyca albo jakoś tak.

- Zgodnie z zaleceniem stanowej organizacji zdrowia w Arizonie, stosujemy jedynie naczynia opatrzone certyfikatem - odparła z ledwie skrywanym sarkazmem.

- Zabrzmiało to jak wyznanie naukowca, a nie czarodziejki.

Gotowy koktajl przelała do wysokiej szklanki, udekorowała bitą śmietaną i truskawkami i podała chłopcu.

- Różnica między magią a współcześnie pojmowaną nauką to ledwie kilka stuleci. Jeszcze nie tak dawno ludzie biegali do wioskowych czarownic po medykamenty i różne eliksiry.

- Pozostanę przy współczesnej medycynie. Wydaje mi się to bezpieczniejsze od jakiegoś hokus-pokus.

- Hokus-pokus, mówisz?

Zawsze bardzo się złościła na takie uprzedzenia. Do diabła, myślała. Mamy dwudziesty pierwszy wiek i jesteśmy w Sedonie, a nie w Salem z jego procesem czarownic. Nauka potrafi rozwiązywać wiele problemów, ale każdego dnia zdarzają się cuda. Zdenerwowana sięgnęła po kolejny dzban i zaczęła wyjmować tajemnicze buteleczki z lodówki.

- Cóż, skoro moja magia jest tylko mistyfikacją dla turystów, to nie

będziesz się bał wypić tego, co ci przygotuję?

Ben odstawił swoją szklankę. Wytarł wąsy z bitej śmietany i spojrzał na tatę.

- Moje jest pyszne. Chcesz łyka?

- Nie, dzięki.

Zatrzasnęła lodówkę trochę zbyt mocno.

- Co z tobą, J.B.? Czyżbyś się bał, że rzucę na ciebie urok i zamienię w żabę?

Ben aż. podskoczył z radości.

- Naprawdę mogłabyś? Super! - Wykonał szalony taniec, śpiewając: - Zamień tatę w żabę! Zamień tatę w żabę!

- Nie mogłaby. - J.B. powstrzymał wyglupy syna. - Siobhan nie jest żadną czarodziejką. Nie ma czegoś takiego jak czary czy magiczne eliksiry. Coś mruknęła do siebie, kończąc przygotowywać napój, a potem wręczyła J.B. różową miksturą ze słowami:

- Do dna, panie Pendelton.

Niechętnie sięgnął po szklankę. Miał świadomość, że wszyscy na niego patrzą, łącznie z V'LERią i dwoma klientami. Nawet przez sekundę nie uwierzył w magiczne zdolności Siobhan ani w to, że chciałyby go otruć, ale nikczemny błysk w jej oczach trochę go niepokoił.

Presja otoczenia zrobiła jednak swoje. Choć wydawało mu się to wszystko śmieszne, uniósł szklankę i. upił mały łyk. Napój okazał się naprawdę smaczny, lekko słodkawy. J.B. zauważył, że Ben przygląda mu się w napięciu, więc drżącym głosem spytał:

- Co tam wsadziłaś?

- Mango, żurawinę i sok z owocu męczennicy. I jeszcze kilka drobiazgów - dodała tajemniczo. - A teraz grzecznie proszę wypić wszystko.

Westchnął ciężko, po czym zaczął opróżniać szklankę. Był mniej więcej

w połowie, gdy V'Leria spytała:

- To chyba nie była jedna z tych twoich mikstur miłości?

Omal się nie zakrztusił, ale zdołał wypić do końca. Odstawił szklankę na ladę i rzucił przelotne spojrzenie na syna. Chwycił się teatralnie za brzuch i zachwiał się. Ben zachichotał szczęśliwy.

- I jak, tato? Zakochałeś się już?

J.B. spojrział na Siobhan. Nie miał przekonania, czy chodzi o miłość, ale pożądanie na pewno trafnie by określało jego stan. Pożądał jej od pierwszego dnia, gdy ją zobaczył. Przypomniawszy sobie tamten dzień. Dojrzał ją znad żywopłotu, jak w kusych szortach i skromnej koszulce ćwiczyła jogę w swoim ogródku. Nie mógł zapomnieć rozchylonych, pełnych ust i zdziwionych oczu, gdy zorientowała się, że się jej przygląda.

Przywołał się do porządku i przeniósł wzrok na syna. Zaczął robić dziwne miny i cały się trząść. Na koniec zarechotał jak żaba.

Chłopiec pękał ze śmiechu.

- Synu, to działa! Miałaś rację, Siobhan to najprawdziwsza czarownica. Nie dość, że zmieniam się w żabę, to jeszcze oszalałem na twoim punkcie.

Schylił się i uniósł chłopca, by go mocno przytulić. Siobhan śmiała się razem z nimi, ale gdzieś w środku znowu poczuła zazdrość. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz przytulał ją mężczyzna. Patrząc teraz na Bena i jego ojca, pomyślała, że w jakiś szczególny sposób ciągnie ją do nich obu.

Kiedy opuścili sklep z prezentem dla cioci Lissy, V'Leria podeszła do Siobhan i przyjrzała się jej uważnie.

- Jak myślisz, ile to potrwa?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie opowiadaj! - oburzyła się V'Leria. - Dobrze widziałam, że do drinka dorzuciłaś też rozmaryn i werbenę. A doskonale wiemy, co te zioła powodują.

- Naprawdę? Naprawdę wierzysz, że dzięki nim mężczyzna otwiera się na

nowe związki?

- Przecież dobrze wiesz, że tak jest. Siobhan uśmiechnęła się ponuro.

- To się nie uda - rzuciła smutno. - Panna Marion była szczerze rozczarowana, obserwując, gdy próbowałam unieść w powietrze zwykłe piórko. Jestem na najlepszej drodze, by dostać nalepkę „przeciętna”.

- Wiesz, kiedy patrzyłam na twarz J.B., byłam skłonna uwierzyć, że jesteś całkiem blisko zdobycia wyższego poziomu magicznego. - V'Leria mrugnęła porozumiewawczo.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie dopuszczał do siebie myśli, że jakaś owocowa papka będzie miała wpływ na jego uczucia. Z drugiej strony nie mógł przestać myśleć o Siobhan. Od dobrych ośmiu dni wszystkie jego myśli krążyły wokół niej.

Przylapywał się na tym, że zastanawiał się, co może robić w danej chwili. Tęsknił za nią, za jej śmiechem i uprzejmością. Jego sny również wypełniała Siobhan, i to z każdym najmniejszym szczegółem... Chodził rozkojarzony do tego stopnia, że podczas śniadania wlał Benowi sok jabłkowy do płatków śniadaniowych zamiast mleka.

Skierował helikopter w stronę południowej krawędzi Wielkiego Kanionu. Sześciu pasażerom ukazał się płaskowyż Kaibab w pełnej krasie. Ze słuchawek leciał głos przewodnika, opowiadający o mijanych formacjach, Horseshoe Mesa czy Hopi Watchtower. Na skraju sosnowego lasu płaskowyż gwałtownie opadał i oczom podróżnych ukazywał się cały kanion. Nawet J.B., który latał tędy regularnie pięć razy dziennie od pięciu miesięcy, musiał przyznać, że widok wprost zapierał dech w piersi.

Oślepiające popołudniowe słońce sprawiało, że czerwone z natury skały

płoneły jeszcze bardziej rdzawym światłem. Wlecieli nad teren Rezerwatu Indian Nawaho. Turyści z otwartymi ustami podziwiali widoki, a myśli pilota znowu podążyły w stronę seksownej sąsiadki. Dopiero nierówna praca silnika przywróciła go do porządku. Wzdrygnął się i pomyślał, że musi się wziąć w garść, bo zaraz rozbije helikopter.

Zakłopotany musiał przyznać, że płatki z sokiem to nie jedyna wpadka, którą ostatnio zaliczył. Był tak rozkojarzony, że zdawało mu się opuszczać dom w koszulce włożonej tył na przód. Z sklepów wychodził z pustymi rękami, a i kluczyki udało mu się zamknąć w samochodzie.

W każdej wolnej chwili zerkał na sąsiednie podwórko. Szukał wzrokiem Siobhan. Obserwował ją ukradkiem z okien sypialni. Obserwował i pożądał coraz mocniej. Przyglądał się jej ćwiczeniom jogi i pragnął jej dotknąć. Pożądanie stawało się nieznośne, ale nic nie potrafił na to poradzić. Wyobrażał sobie, jak odgarnia włosy z jej twarzy, sięga do guzików bluzki i...

Nerwowe klepanie w ramię wyrwało go z marzeń. Odwrócił się w stronę pasażerów.

- Czy coś się stało?

- Nie powinniśmy już wracać? - Mężczyzna z aparatem w dłoni wydawał się trochę zdenerwowany. - Nagranie w słuchawkach leci już trzeci raz.

Zakłopotany J.B. spojrział przez okno i zaklął w duchu. Byli w miejscu oddalonym o wiele kilometrów od zaplanowanej trasy. Czterdziestopięciominutowa wycieczka przeciągnęła się do dwugodzinnego lotu. Wskaźnik zużycia paliwa sięgał rezerwy. J.B. podrapał się nerwowo po karku. Siobhan kolejny raz sprawiła, że wpakował się w kłopoty.

- Siobhan, bardzo ci dziękuję. Naprawdę.

Mógł o to samo poprosić kilka innych osób, ale miał świadomość, że ona nie odmówi. Poza tym ufał jej i wiedział, że Ben nie będzie miał nic przeciwko temu, by to ona odebrała go ze szkoły. No i przede wszystkim mógł przyjść do

niej po południu, żeby zabrać syna.

- To żaden problem - odparła. - Ben bardzo pomógł mi w sklepie.

- Poważnie? Co takie robiłeś, kolego? Chłopiec wzruszył ramionami i odparł głosem pozbawionym emocji:

- A co miałem robić? Włożyłem kilka rzeczy do toreb.

Siobhan roześmiała się głośno.

- Całkiem sporo rzeczy do całkiem wielu toreb.

J.B. spojrział na nią pytającym wzrokiem i zaparło mu dech w piersiach.

Jej oczy błyszczały wesoło, a skóra zdawała się bardziej aksamitna niż zwykle.

W jednej chwili pomyślał, że tak musi wyglądać po seksie. Zamrugał nerwowo, próbując przypomnieć sobie, o czym rozmawiali.

- Eee... Czyli mieliście sporo pracy, tak?

- Niebywale dużo - zgodziła się. - Mieliśmy dziś rekordową sprzedaż.

Wyprzedaliśmy niemal wszystkie balsamy, olejki i kremy do twarzy. Coś niezwykłego! Robin i jej przyjaciółka Leanne, dwie stałe klientki, zrobiły mi świetną reklamę i każda odwiedzająca nas kobieta pytała o „cudowny krem”.

- Cudowny krem? Uśmiechnęła się szeroko.

- Też byłam zaskoczona, ale Robin przysięgała, że specyfik, który ostatnio u nas kupiła, w ciągu jednej nocy wyleczył trądzik jej córki. A Leanne zarzeka się, że dzięki naszej maseczce wygląda o dziesięć lat młodziej.

- I tak jest rzeczywiście? - spytał kpiąco.

- Wiesz, wyglądała dziś bardzo ładnie, ale za tych wszystkich klientów, których ściągnęła mi do sklepu, i tak nazwałabym ją najpiękniejszą kobietą świata - odparła wesoło, po czym położyła rękę na ramieniu Bena. - Dobrze, że byłeś ze mną. Nie dałabym rady sama z V'Lenią.

Chłopiec uśmiechnął się bez entuzjazmu. J.B. przyjrzał mu się uważniej. Mały był blady i najwyraźniej zmęczony.

- Chodźmy do domu, synu. - Objął go ramieniem. - Zrobię ci coś na

obiad, co ty na to?

- A nie możemy zostać tutaj? Sisi mówiła, że ma tacos z kurczakiem.

- Kurczak już jest gotowy - potwierdziła. - Potrzebuję tylko kilku minut, żeby wszystko skończyć.

J.B. wyraźnie czuł, że Siobhan chce, żeby zostali na obiad, ale spojrzał na nią przepaszająco i powiedział:

- Dziękujemy za zaproszenie, ale wydaje mi się, że Bena łapie jakaś choroba.

Poczuła ogromne rozczarowanie. Naprawdę liczyła na obiad we dwoje. We troje, poprawiła się w myślach. Oczywiście jednak było, że mimo sympatii do Bena, głównym magnesem było seksowne spojrzenie J.B. Poczuła nieodpartą chęć, żeby wsunąć palce w jego włosy i jakoś go zatrzymać. Sama nie wiedziała, co się z nią działo przez ostatnie dni. Bez przerwy o nim myślała. Gdyby nie świadomość własnej impotencji magicznej, gotowa była przypuszczać, że jej napój miłosny zaczął działać.

- Zostańmy, tato. - Ben spojrzał prosząco na J.B.

- Nie dziś, przyjacielu. Już i tak za dużo czasu zajęliśmy Siobhan.

- Dla mnie to żaden kłopot - zapewniła. - Ale nie martw się, Ben, niedługo zrobimy sobie razem tacos, dobrze? - Podała mu aluminiową puszkę. - Nie zapomnij naszych ciasteczek.

- Dzięki, Sisi. - Ben westchnął ciężko.

J.B. zarzucił plecak syna na ramię i ruszył do drzwi. Chłopiec niechętnie poczłapał za tatą. Gdy otworzyli drzwi, J.B. zatrzymał się gwałtownie.

- Niespodzianka, Siobhan. - Schylił się po dwie paczki leżące na wycieracze.

Podeszła, a kiedy podawał jej pakunki, ich ręce otarły się o siebie. Zadrżeli i zakłopotani spojrzeli na siebie. Zrozumieli, że poczuli dokładnie to samo. Jakaś niewidzialna siła pchała ich ku sobie.

- Hej, Sisi, co to? Co jest w środku? - przerwał ich intymne rozmyślenia zaciekawiony chłopiec.

Spuściła wzrok i spojrzała na przesyłki. Jej twarz rozświetlił szeroki uśmiech, kiedy odczytała nadawców paczek.

- Wygląda na to, że to prezenty urodzinowe od moich babć!

- Super! - Ben natychmiast odzyskał entuzjazm. - Otwórz je.

- O rany, a ja myślałem, że czarownice mają urodziny w Halloween - zadrwił J.B.

- Prawdę mówiąc, to tylko jeden dzień różnicy - skomentowała beznamiętnie.

- Otwórz je, otwórz - nalegał Ben.

- Wystarczy, kolego. Musimy już iść.

- Tato, musimy teraz zostać. - Spojrzał błagalnie na ojca. - Nie ma żadnej frajdy w samotnym otwieraniu prezentów urodzinowych, powinniśmy być z Sisi. A skoro już tu będziemy, to moglibyśmy zjeść tacos. Prawda?

Chciała ponowić zaproszenie, ale uznała, że nie może wtrącać się w ich sprawy. Widziała proszące spojrzenie chłopca i nie mogła zrozumieć, skąd J.B. ma siłę, żeby przeciwstawiać się woli sześciolatka.

- Pudło. Siobhan opowie nam później, co dostała. A teraz musimy iść.

- Ale tato...

J.B. spojrzał groźnie na syna.

- Żadnych ale, Ben. Podziękuj Siobhan i pożegnaj się.

Chłopiec zrozumiał, że sprawa jest przegrana. Wykrzywił usta i powiedział smutno:

- Dziękuję i do zobaczenia.

- To ja dziękuję, skarbie. Bardzo lubię spędzać z tobą czas.

- Chciałbym, żebyśmy mogli spędzać go więcej. W ogóle to chciałbym zostać na całą noc.

Poczuła, jak robi się jej ciepło na myśl, kto w którym łóżku spędzałby tę noc. Na wszelki wypadek uniknęła spojrzenia J.B.

- Wkrótce znów się zobaczymy. Obiecuję.

- Jeszcze raz dziękujemy, Siobhan - odezwał się J.B. i popchnął Bena na dwór. - Wszystko w porządku, kolego? - spytał syna, kiedy schodzili po schodkach.

- Mama była bardzo zła, że nie mogła wejść do Sisi... - Reszty zdania Siobhan nie usłyszała, bo J.B. zamknął za nimi drzwi.

Zmarszczyła czoło i odłożyła paczki na szafkę. Zastanowiła się nad słowami chłopca. Ben był podenerwowany, kiedy po powrocie ze szkoły oznajmiła, że zabiera go do siebie. Z początku nalegał, że chce iść do swojego domu, ale kiedy wyjaśniła mu, że nie ma kluczy i skusiła wizją upieczenia ciasteczek, uspokoił się.

Poszła do kuchni przygotować sałatkę i schować kurczaka do lodówki. Słowa Bena nie dawały jej spokoju. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego powiedział „nie mogła” zamiast „nie chciała”.

Rzuciła okiem na ogród. Ostatnie promienie słońca oświetlały grządki pełne kwiatów. Nagle coś kazało jej spojrzeć na framugę drzwi. A konkretnie na przedmiot ponad framugą.

Poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Odwróciła się, by spojrzeć również na drzwi frontowe. A potem na okna. Po chwili w każdym możliwym wejściu do jej domu zawisł obsydianowy amulet. Obeszła również wszystkie pomieszczenia i okadziła je dymem z szaławii. Wszystko po to, żeby powstrzymać negatywną energię.

Czyżby mama Bena nie była jedynie wytworem chłopięcej wyobraźni?

To pytanie męczyło ją całą noc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Postawiła obiad na stole i naląła białego wina.

Nim jednak usiadła, postanowiła przygotować nalewkę dla jednego z klientów, który cierpiał na poranne nudności. Poszła do kuchni i napełniła czajnik wodą, żeby zaparzyć zioła. Ledwie rozpałała kuchenkę, z niebieskich płomieni wyłoniła się twarz jej babci Anity Dziesięć Koni. Przyzwyczajona do takich wizyt, Siobhan odstawiła czajnik na bok, żeby nie wyłączyć przekazu.

- Cześć, babciu. Jak się masz?

Babcia Anita pochodziła z plemienia Nawaho i była niską, kręłą kobietą. Na pierwszy rzut oka wyglądała pocieszenie, ale patrząc w jej ciemne, przepełnione mądrością oczy, człowiek zaczynał czuć się niepewnie. Była szanowaną szamanką i Siobhan bardzo ją lubiła, choć jednocześnie trochę się jej bała.

- Dziękuję, dobrze. Przyjechałyśmy, żeby...

- Przepraszam. - Spojrzała na babcię zakłopotana. - Jak to my?

Kiedy wypowiedziała te słowa, spostrzegła, że woda w czajniku pomarszczyła się, a na jej powierzchni pojawiła się druga postać. Rozpoznała Charlotte Gryffon. Walijska babcia była z kolei wysoka i szczupła. W przeciwieństwie do czarnowłosej Anity, Charlotte miała blond włosy. Zielonooka i zawsze uśmiechnięta, była cenionym jasnowidzem.

- Cześć, babciu - przywitała się zdziwiona Siobhan. - Co tu robisz? Czy u ciebie przypadkiem nie jest czwarta rano?

Charlotte uśmiechnęła się szeroko.

- A przymierzam się właśnie, żeby obudzić twojego dziadka. Ale najpierw chcę zobaczyć, jak otwierasz prezenty.

Siobhan podeszła do stolika i wzięła paczki. Wcześniej już zdjęła z nich papier, ale w środku znalazła karteczkę, żeby poczekała z otwieraniem pudełek.

- Byłam zaskoczona, że przyszły tak wcześnie - powiedziała. - Zawsze

dostawałam je dokładnie w dniu urodzin.

- Ten rok jest inny - odparła Anita.

- Wyjątkowy - dodała Charlotte.

- Potrzebujesz czasu, żeby się przygotować. Siobhan uśmiechnęła się smutno.

- Rozumiem. Nie każdego dnia kończy się trzydziestkę.

- Więcej, droga wnuczko. Nie każdego dnia kobieta odkrywa swoją tożsamość.

- Mamy dla ciebie pewną tajemnicę - uzupełniła Charlotte.

- Co jest, babciu?

Obie babcie uśmiechnęły się ciepło i mrugnęły porozumiewawczo.

- Otwórz większe pudełko, a wszystko stanie się jasne.

Sięgnęła po paczkę i otworzyła ją. W środku znalazła tekturową tubę, z której wyjęła zrolowany kawałek koziej skóry. Spojrzała pytająco na kuchenkę, gdzie migotały twarze Anity i Charlotte.

- Ta skóra konieczna jest podczas urodzinowej ceremonii błogosławienia. Na niej stworzysz wizerunek Kobiety, Która Się Zmienia. - Twarz Anity była skupiona i poważna. - *Íi-kááh* musi powstać o świcie i zostać zniszczona, gdy słońce schowa się za horyzontem. Tylko wtedy uzyska się pełne odrodzenie zdrowia i harmonię ducha.

- Rozumiem, babciu, i dziękuję.

Z czcią rozwinęła skórę, która okazała się kwadratem o ponadpółmetrowym boku. Ułożyła go starannie na kuchennym blacie. Na dnie pudełka znalazła jeszcze jeden przedmiot.

Zrobiony był również ze skóry. Była to stara indiańska pochwa na nóż.

Delikatnie wyciągnęła połyskujące ostrze. Miało wygięty kształt i tępo zakończony czubek. Drewniana rękojeść inkrustowana była kamiennymi okruchami, które tworzyły wzór symbolizujący Krąg Medyczny, święte miejsce

północnoamerykańskich Indian w górach Bighorn.

- Jest piękny - powiedziała oszołomiona.

- Służył do zbierania ziół, ale ty w dniu urodzin użyjesz go w rytualnym kręgu. Siobhan Silverhawk - powiedziała uroczyście Anita - ten sztylet przechodzi z matki na córkę od wieków. Używaj go mądrze i rozważnie.

Wsunęła ostrze do pochwy, a następnie odłożyła do pudełka.

- Uszanuję wolę przodków - wyszeptała. - Dziękuję raz jeszcze.

- No dobrze - wtrąciła niecierpliwie Charlotte. - Teraz zobacz prezent ode mnie.

Gdy otworzyła drugie pudełko, znalazła złożony kawałek materiału. Rozłożyła go i zorientowała się, że trzyma białą jedwabną tkaninę z wyszywanymi srebrną nicią celtyckimi wzorami.

- To obrus ołtarzowy - wyjaśniła Charlotte, nim Siobhan zdążyła zapytać.

- Ten jest specjalny. Służy podczas szamańskiego rytuału z ostatniego dnia października. Nie jest może tak ważny jak skóra od Anity, ale nie wypada, żebyś używała pierwszego lepszego koca, więc masz elegancki obrus.

Ze śmiechem podziękowała babci. Zajrzała do pudełka i wyjęła jeszcze srebrny kielich. Podstawa miała fakturę ziemi, a nóżka była w kształcie nagiej kobiety, która klęczała na jednym kolanie. Ręce i głowę miała uniesione, a w dłoniach trzymała kielich. Na jego brzegach wryty był celtycki Krąg Stworzenia, cztery koła reprezentujące Ziemię, Powietrze, Ogień i Wiatr, oraz piąte koło łączące pozostałe i reprezentujące równowagę między nimi.

- Jest przepiękny - westchnęła zachwycona Siobhan.

- Tak - zgodziła się Charlotte. - Cieszę się, że ci się podoba. Musisz go użyć podczas Halloween, czyli w celtycki Nowy Rok. - Najwyraźniej niechętnie, ale przybrała uroczą minę i powiedziała: - Siobhan Silverhawk, ten kielich przechodzi z matki na córkę od wieków. Używaj go mądrze i rozważnie.

- Tak się stanie. Obiecuję. - Odstawiła ostrożnie kielich do pudełka.

Przyjrzała się babciom. Choć tak bardzo się różniły, były najsilniejszymi kobietami, jakie знаła.

- O co w takim razie chodzi z tym moim odkrywaniem tożsamości?

- Jeszcze nie rozumiesz? - Anita prawie wyskoczyła z płomieni. - Jako druga z trzech córek dziedziczysz te magiczne przedmioty i moc, którą z sobą niosą, z dwóch rodzin równolegle.

Charlotte klasnęła cicho w dłonie.

- Tylko o tym pomyśl. Nadszedł czas, to twój Rok Mocy. W dniu urodzin odkryjesz w sobie magię. Zarówno leczniczą, jak i dającą zdolności przewidywania przyszłości.

- To niemożliwe. - Po prostu nie dowierzała własnym uszom. - Dlaczego nigdy wcześniej nie słyszałam o jakimś Roku Mocy?

Choć ciężko było w to uwierzyć, babcia Anita jeszcze bardziej zmarszczyła czoło.

- Rodzice i ja od dziecka powtarzamy ci, że twój czas nadejdzie.

- Miałam prawie trzydzieści jeden lat, kiedy zdobyłam swoje moce - wyznała Charlotte.

- Nie tłumaczyli ci tego w szkole?

- Nie - oburzyła się Siobhan. - To znaczy, że zmarnowałam ostatnich pięć lat, ucząc się czegoś, co do dziś nie było mi i tak dane, tak?

- Nauka to nie jest marnowanie czasu, wnuczko. Masz potencjał, żeby zostać najbardziej utalentowaną szamanką, jaka stąpała po ziemi - wyjaśniła Anita.

A potem, ku wielkiemu zaskoczeniu Siobhan, zdarzyło się coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Jej zawsze poważna i sroga indiańska babcia uśmiechnęła się.

„Dlaczego mi nie wierzysz?”.

Słowa Bena cały czas dźwięczały w głowie J.B. Minęły dwie godziny od ich sprzeczki, ale nie mógł dojść do siebie. Wyciągnął się niedbale na fotelu i sięgnął po drugie piwo. Wypił duży łyk i odstawił butelkę na podłogę. Schował twarz w dłoniach. Czuł się fatalnie, myślał, że jest najgorszym ojcem na świecie. Ben kolejny raz zasnął z płaczem. Tym razem jednak to on, a nie smutek czy złość, był powodem łez.

J.B. kazał Benowi iść do pokoju i szykować się do sprawdzianu w szkole. Sam poszedł do kuchni, żeby zrobić obiad. Ponieważ ze sklepu przyniósł jedynie listę sprawunków, nie mieli wielkiego wyboru. Korzystając z tego, co miał pod ręką, czyli zupy w puszcze, resztki sera i kilku kromek lekko czerstwego chleba, przygotował ciepłą papkę i poszedł po syna.

W progu salonu zamarł. Pokój wyglądał jak po przejściu tornada. Szafki były pootwierane, szuflady wyciągnięte na podłogę, na której walały się wideokasety i płyty CD. Wszędzie były porozrzucane poduszki z kanapy. Większość książek również zniknęła z półek. Na środku tego bałaganu stał Ben. W dłoniach trzymał rozdarte gazety, twarz miał bladą i zakłopotaną.

J.B. otworzył oczy i sięgnął po butelkę. Wspominał, jak Ben wypierał się wszystkiego i zarzekał, że próbował właśnie posprzątać bałagan. J.B. był jednak wykończony po całym dniu w pracy i zupełnie nie miała nastroju do słuchania opowieści o duchach.

- To nie ja, tato. Naprawdę! - krzyczał Ben. - Mówiłem ci, że mama była bardzo zła. Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

Do cholery, w co miał uwierzyć? W to, że jego zmarła żona wyrzuciła kasety na podłogę? I że stłukła dzbanek, który dostał od Siobhan? Nic z tego, powtórzył w myślach. To nie Hollywood i nie plan „Szóstego zmysłu”.

Pomyślał o swojej babce, Wielkiej Louisie, jak była przez wszystkich nazywana. Faktycznie, kiedyś twierdził, że mu się objawiła i z nim rozmawiała, ale rodzice wytłumaczyli mu, że to było tylko złudzenie. Z początku nie dawał

za wygraną, ale tyle razy go strofowali, że wreszcie przestał ją wspominać.

Z czasem wszystko pojał. Rodzice mieli rację. Duchy nie istnieją bez względu na to, jak bardzo tęskni się za zmarłą osobą.

Rozumiał, że Ben bardzo tęskni za Gabrielle. Sam też za nią tęsknił, ale wierzył, że czas leczy rany. Stworzyli cudowne małżeństwo, przynajmniej tak było przez pierwsze lata. Później Bri postanowiła robić karierę i dom coraz mniej dla niej znaczył. J.B. nie winił jej. Pieniądze zarobione przez żonę bardzo się przydały, ale relacje między nią a nim i Benem bardzo ucierpiały.

Była tak zaangażowana w pracę, że choć miała wolny dzień, pojechała do Waszyngtonu w nadzwyczaj pilnej sprawie. Wtedy właśnie zginęła w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę.

J.B. westchnął ciężko. Wiedział, że nie ma sensu kolejny raz tego roztrząsać. Powinien skoncentrować się na synu. Życie trwało dalej, a Ben potrzebował pomocy.

Dobiegły go ciche dźwięki muzyki. Domyślił się, że to Siobhan wyszła do ogrodu, by ćwiczyć jogę. Podeszedł do okna, by wyjrzeć na zewnątrz.

Kilkanaście razy unosiła ramiona nad głowę i powoli je opuszczała. Następnie pochyliła się, a dłonie oparła na ziemi. Została tak kilkanaście sekund, potem zmieniła pozycję.

Koszulkę miała mokrą od potu, widać było, że ćwiczy ciężko. Zauważył jednak, że twarz zawsze pozostawała spokojna i wyciszona. W przeciwieństwie do Bri, cała była uosobieniem spokoju i niekonwencjonalnego piękna. Poruszała się jak tancerka, głowa wysoko uniesiona, plecy proste. Pomyślał, że biła od niej niezwykła aura.

Obserwował ją zahipnotyzowany. Był pod ogromnym wrażeniem jej siły i zarazem gracji. Czuł się jak zaczarowany. Uśmiechnął się pod wąsem na to określenie, zaraz jednak zrzędała mu mina. Siobhan rozpoczęła serię ćwiczeń w pozycji leżącej. Unosiła i opuszczała rytmicznie biodra. Nie mógł odgonić

myśli, że seks z nią musiałby być przeżyciem magicznym. Po głowie zaczęły mu krążyć różne wizje...

Siobhan skończyła ćwiczenia, wstała i kilka minut medytowała w bezruchu. Potem wyłączyła muzykę i wróciła do domu. Kiedy miała już zniknąć za drzwiami, zatrzymała się na chwilę i bez odwracania głowy powiedziała:

- Dobry wieczór, J.B.

Cholera, zauważyła mnie, pomyślał zawstydzony. Zarechotał niczym żaba, w którą miała go zmienić. Jej dźwięczny śmiech rozbrzmiał wesoło w wieczornym powietrzu. Ale nie dane było mu się nim cieszyć. Coś niespodziewanie przykuło jego uwagę. Zastygł w bezruchu, a serce zabiło mu mocno.

- Siobhan! Nie ruszaj się! - wyszeptał gwałtownie.

- Co się stało? - spytała.

- Nie ruszaj się!

Coś, co przypominało jakieś zwierzę, skradało się w jej stronę. Kiedy wpełzło w plamę światła, dostrzegł, że pokryte było szarym i białym włosiem. Miało rozmiary sporego psa, ale psem raczej nie było. Wpatrywał się w żółte ślepia stwora i pośpiesznie rozmyślał, jak najszybciej dostać się do Siobhan.

Pod wpływem impulsu dopadł do barierki balkonu i skoczył z trzech metrów. Słyszał, że kojoty zakradają się do ludzkich osiedli, by uzupełniać dietę, grzebiąc w śmietnikach. Ale wilki? Nie chciało mu się w to uwierzyć. Wylądował na trawie, zerwał się na nogi i zaczął klaskać w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Jego działanie przyniosło skutek, bo wilk odwrócił się ku niemu. Siobhan również.

- J.B., wszystko w porządku?

- Tak - odparł, choć cały był podrapany, a na goleni czuł potężne

stłuczenie.

Nie zwracał jednak na to uwagi. Na myśl, co wilk mógł jej zrobić, zapomniał o bólu. Ostrożnie, starając się nie wzbudzić agresji w zwierzęciu, podszedł do Siobhan i ukrył ją za sobą. Zaczął rozglądać się za jakąś bronią.

- Nie ruszaj się, dobrze? - poprosił.

Wilk jakby zdawał sobie sprawę, że polecenie było do Siobhan, a nie do niego, bo przeszedł kilka kroków. Wtedy Siobhan wychyliła się zza pleców J.B. i powiedziała nienaturalnym, zmienionym głosem.

- Idź do domu. No już, uciekaj. To nie jest dobra pora na wizyty.

Zaskoczony J.B. uniósł brwi. Mówiła do wilka jak do jamnika. Na litość boską! - pomyślał. Przecież to groźne zwierzę.

- Dlaczego rozmawiasz z wilkiem?

Wilk warknął, najwyraźniej rozzłoszczony całym zamieszaniem.

- On nie chciał - wyjaśniła.

J.B. zerknął na wyszczerzone kły zwierza.

- Według mnie chciał...

- Nie, nie - przerwała mu. - Mówiłam do Reya, że ty nie chciałeś - wyjaśniła.

- Rey? - Zakłopotany J.B. spoglądał to na Siobhan, to na wilka. - Wilk ma imię?

Opadła na ziemię i zbliżyła się do Króla Wilków.

- Musisz wrócić do mojej siostry. Cokolwiek zrobiłeś, przeproś Shonę i...

Wilk zmrużył oczy i warknął ponownie.

- Hej, przestań na mnie warczeć. Nie możesz tu zostać i już. Poza tym nie chcę się mieszać w twoje sprawy.

Wilk warczał jeszcze chwilę, ale potem podkulił ogon i opuścił łeb, jakby czuł się winny. Siobhan wstała i wskazała palcem w górę.

- A teraz biegnij do domu - poleciała.

- No właśnie - przytaknął J.B. - Spadaj! Wilk zniknął w krzakach, a Siobhan odwróciła się do J.B.

Był blady jak ściana i wpatrywał się w miejsce, gdzie przed chwilą stał wilk.

- Co tu się... - urwał gwałtownie.

- Wszystko w porządku - próbowała go uspokoić. - Widziałam Reya już wcześniej. Jest niegroźny.

- Niegroźny? Siobhan, to był wilk! - zirytował się. - Dziki wilk.

- On jest tylko w połowie dziki. Uwierz mi. A tak w ogóle to tylko w połowie jest wilkiem. - Podeszła do niego i objęła go. - Ale wiesz, to cudowne, że tak zareagowałeś. Czułam się przy tobie bardzo bezpieczna.

Patrzyła na niego z podziwem, a on puchł z dumy. Objął ją również i chrapliwym głosem odparł:

- Jasna sprawa. Zawsze chętnie ratuję małe dziewczynki przed dużymi, złymi wilkami.

Oparła twarz o jego ramię. Pomyślała, że naprawdę czuje się przy nim cudownie. Był silny i dobry. Powietrze między nimi było naładowane energią. Niosło z sobą obietnicę...

Wtulona w jego ciało, czuła, jak J.B. sztywnieje. Słyszała jego urywany oddech, stwardniałe sutki poprzez materiał bluzki ocierały się o jego pierś. Nogi ugięły się jej w kolanach. Pożądała go. Nie dbała o konsekwencje. Chciała poczuć na sobie jego ręce i usta.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Mimo półmroku wyraźnie widziała tęsknotę w jego oczach. J.B. nachylił głowę. Ich oddechy zmieszały się, zawirowało jej w głowie i rozchyliła wargi, żeby poczuć jego ciepłe usta...

- Tato!

Zamarli w bezruchu. Ich usta dzieliły ledwie centymetry, a w oczach malował się niewypowiedziany smutek.

- Tato? Gdzie jesteś?

J.B. cofnął się o krok i uśmiechnął niepewnie.

- Muszę iść.

- Wiem.

Westchnął, pocałował ją i przez ogród wrócił do domu. Zatrzymał się w kuchennych drzwiach, by raz jeszcze spojrzeć na Siobhan, która cały czas stała na trawie. Chwilę później zniknął za drzwiami.

Stała jeszcze jakiś czas w bezruchu. Miała nadzieję, że ten pocałunek kiedyś się powtórzy, ale zdawała sobie też sprawę, że Ben to jedna z tych konsekwencji, której zlekceważyć nie mogą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po głośnym wybuchu nastąpiła seria drobnych trzasków, a w powietrzu uniósł się różowy dym. Instrukcje z Centrum przechowywane były w chronionych czarami ceglanych domkach rozrzuconych po posesji. Założyciele Archiwum szybko pożałowali decyzji o drewnianych konstrukcjach. Źle wyrecytowane inkantacje i czary często powodowały eksplozje i pożary.

- Evan, nie martw się, skarbie. Jestem święcie przekonana, że w ciągu kilku... dni uda ci się to zrobić.

Panna Marion poklepała po ramieniu wysokiego, szczupłego mężczyznę. Evan zebrał książki i wrócił do ławki.

- No dobrze, moi drodzy. Evanowi nie wyszło, ale przecież się nie poddamy, prawda? Pamiętajcie, magia to moc elementów natury połączona z siłą woli. - Poprawiła okulary na nosie i machnęła niedbale ręką, wykonując ćwiczenie, nad którym biedził się Evan.

Cała klasa zaczęła bić brawo. Nauczycielka wykonała kilka kolejnych

pokazowych ćwiczeń, jednocześnie tłumacząc:

- Przemiana wymaga większej woli niż pozostałe magiczne zaklęcia.

Przeobrażenie jednego przedmiotu w drugi wymaga naprawdę dużych umiejętności i doświadczenia. - Poruszyła szybko dłońmi i winogrona zmieniły się w kieliszek czerwonego wina. Kolejny ruch nadgarstkami i oczom uczniów ponownie ukazały się owoce. - Jeśli jednak skoncentrujecie się odpowiednio, jestem przekonana, że będziecie w stanie wypić kieliszek wina, mając do dyspozycji jedynie winogrona.

Zatrzymała się i przyjrzała klasie. Wiedziała, że nie powinna się przywiązywać do uczniów. Spędzali tu niecały miesiąc i większość z nich już nigdy nie wracała. Ale po pięciu latach Siobhan Silverhawk była jej murowanym faworytem. Powinna być najlepiej rokującą studentką. Tyle że jej zdolności wciąż były ukryte.

Marion zdawała sobie sprawę, że taka sytuacja ma miejsce, gdy adeptka magii odrzuca lub porzuca miłość albo też niewłaściwie korzysta z daru miłości. Nauczycielka podejrzewała, że w przypadku Siobhan i kilku innych studentek chodzi o ten ostatni powód. Same były wielokrotnie odrzucane i teraz nie potrafiły otworzyć swoich serc na nowe uczucia.

W teorii rozwiązanie wydawało się proste, ale przemówienie do rozumu grupie niecierpliwych młodych kobiet przekraczało możliwości nawet panny Marion.

Wzdrygnęła się, rozejrzała po klasie i skarciła w myślach. Zamiast rozmyślać, powinna skoncentrować się na zajęciach. Wstała od stołu i przez kolejny kwadrans krążyła między studentami, pomagając im wykonywać ćwiczenia.

- Świetnie, Harry - pochwaliła. - Dostajesz dodatkowe punkty.

Z doświadczenia wiedziała, że nowicjusze radzą sobie lepiej od powołanych.

- Glinda? Och, nie.

Młoda dziewczyna przy oknie trzymała w rękach bulgoczący kielich. Spora kiść winogron zaczęła fermentować i zalewać wszystko wokół.

- Miałaś użyć tylko ośmiu winogron - zganiała ją Marion.

Czerwona ze wstydu dziewczyna próbowała powstrzymać zakłęcie, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Kielich pękł i poważnie pokaleczył dłoń Glindy.

Przy stoliku obok pracowała Siobhan. Ćwiczenie jej nie szło, ale na widok rannej koleżanki natychmiast pośpieszyła z pomocą. Urwała pas materiału z zasłony.

- Nie wygląda to najlepiej. Pozwól, że zajmę się twoją ręką. - Opatrzyła dłoń Glindy.

Do uszu Marion dobiegło zbiorowe westchnięcie. Przedarła się przez krąg gapiów i sama z trudem powstrzymała okrzyk zdziwienia. Widziała wcześniej, że rozcięcie było bardzo poważne. Było, powtórzyła w myślach. Ponieważ wraz z pozostałymi uczniami obserwowała, jak rana zasklepia się pod wpływem dotyku Siobhan. Minęły dosłownie sekundy, gdy ręka wyglądała, jakby nic się nie stało.

Studenci szeptali coś między sobą, a Glinda jak zahipnotyzowana wpatrywała się w miejsce, skąd jeszcze przed chwilą tryskała krew.

Nikt jednak nie wyglądał na bardziej zdumionego niż sama Siobhan. Wystraszona spojrzała na pannę Marion.

- Co się stało?

- Czyż to nie oczywiste? - odezwał się ktoś z tłumu. - Wyleczyłaś ją!

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Mówiły, że to może się stać, ale nie bardzo chciałam im wierzyć. Poza tym to jeszcze dwa dni do urodzin. Nic nie rozumiem. To zupełnie nieprawdopodobne.

- Wręcz przeciwnie, skarbie - odezwała się uradowana nauczycielka. -

Zawsze powtarzałam, że drzemie w tobie wielka moc. - Była dumna i szczęśliwa. Wiedziała, że Siobhan nie musi się już obawiać wydalenia ze szkoły.

- Od czasu, kiedy opuściłam Centrum, wszyscy mówią tylko o tym, a tak naprawdę nie wiem, co się wydarzyło. Bardzo chciałam pomóc Glindzie i ot tak, stało się.

Upiła łyk herbaty z kaktusów. Siedziały z V'Lerią w jednej z kafejek Sedony. Było to znane i lubiane miejsce, wierna kopia meksykańskiej architektury.

- No cóż, jestem zazdrosna - odezwała się przyjaciółka. - Wiesz, jestem tylko medium, ale zawsze lubiałam być w centrum uwagi. Teraz, kiedy stałaś się gwiazdą, pora, bym odeszła. - Teatralnie przewróciła oczami.

- Będąc tak utalentowanym medium, powinnaś to przewidzieć, Val - przekomarzała się Siobhan. Wiedziała, że V'Leria nie obrazi się za te słowa, ponieważ była medium ze zdolnością przewidywania zdarzeń mających nastąpić nie dalej niż kilka godzin od zakończenia sesji. Nagle posmutniała. - Ot, choćby ja. Wcale się tego nie spodziewałam. Żyłam tylko zapewnieniami babć.

- Ale dlaczego? Czy nie jest tak, że wszyscy w twojej rodzinie mają magiczne właściwości?

Wzmianka o rodzinie wzbudziła w niej mieszane uczucia. Z jednej strony była z nich wszystkich dumna, z drugiej nie mogła wyzbyć się uczucia zazdrości. Jej ojciec, Jacob Silver Dawn, był kardiochirurgiem i mógł poszczycić się tym, że nigdy nie stracił żadnego pacjenta.

Starsza siostra Sian poszła w ślady ojca i została onkologiem. Matka, Fiona Goshawk, była wybitnym psychologiem, zaś młodsza siostra Shona pracowała jako analityk w firmie brokerskiej.

- Tak, masz rację. I dlatego też podejrzewałam, że jestem adoptowana.

W rodzinie, która zdecydowanie się wyróżniała, Siobhan zawsze stała z boku, ponieważ... nie różniła się od rówieśników. Paradoks, ale sprawiający wiele przykrości, pomyślała. Jej siostry zyskały moc w okresie dojrzewania. W tym samym czasie Siobhan była taka sama jak inne dziewczynki. Dorastanie w rodzinie, która używała magii na co dzień, nie było zbyt przyjemne. Czowała, że nie pasuje do rodziny, bo jest po prostu zwyczajna.

Magiczną niemoc najbardziej odczuła w dniu, kiedy wraz z przyjaciółką wybrały się w góry Sangre de Cristos. Planowały wejść na jeden z wyższych szczytów, ale Laurel poślizgnęła się i roztrzaskała nogę o skały.

Siobhan z całych sił modliła się o pomoc, ale mimo starań nie była w stanie zaleczyć rany. Czekwały wiele godzin, nim inni turyści zawiadomili ratowników, którzy przylecieli helikopterem i wyciągnęli je z pułapki.

Od tamtego dnia Laurel chodziła o kuli i dzielnie znosiła ból. Kiedy przechodziła rehabilitację, Siobhan dostała się na uniwersytet stanowy i wyjechała z miasteczka. Rodzina była zasmucona, że ich opuszcza, ale jednocześnie pełna zrozumienia dla jej decyzji. Rodzice doskonale wiedzieli, że Siobhan musi odnaleźć swoje miejsce w świecie.

- Opowiedz, co jeszcze się wydarzyło. Miałaś jakieś wizje albo coś takiego?

- Nie, nic. - Siobhan była wyraźnie zakłopotana. - Naprawdę nie miałam podstaw, by przypuszczać, iż coś się wydarzy, szczególnie że urodziny mam dopiero za dwa dni. I tak prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy ta moja moc jeszcze się pojawi ani kiedy to nastąpi. Bo może jest tak, że to już koniec i że nie będzie ciągu dalszego tej historii.

- Koleżanko - skarciła ją Val. - Jesteśmy w Sedonie. Przypominam ci, że tu negatywne myślenie jest zakazane. A tak poważnie, to nie rezygnuj z tego, co już się wydarzyło. W twoje urodziny księżyc będzie w pełni. To musi być dobry znak.

Siobhan spięła włosy w kucyk i odchyliła się na krześle.

- Moje siostry mają moc niemal przez całe swoje życie, podczas gdy ja lata studiowałem i ćwiczyłam daremnie. W tych okolicznościach chyba rozumiesz moje obawy?

- Ale przynajmniej napój miłosny zadziałał. Temu nie zaprzeczysz.

- Zaprzeczę - odparła bez zastanowienia.

V'Leria odsunęła pusty talerz i spojrzała na przyjaciółkę.

- Prawie mnie przekonałaś - zakpiła. - Nie myślałaś o wstąpieniu do szkoły aktorskiej?

- To prawda, oboje wykazujemy jakieś tam wzajemne zainteresowanie, ale to jeszcze nie oznacza, że fałszywy eliksir zadziałał - powiedziała spokojnie.

- Prawdę mówiąc, J.B. podobał mi się już dawno temu, zanim jeszcze... -

Przerwała gwałtownie. - No dobrze, lubię go, przyznaję.

- Lubisz? - Val spojrzała na nią uważnie. - Czy może lubisz w specjalny sposób?

- A co to? Przesłuchanie? - Wykrzywiła usta, choć doskonale wiedziała, o co chodzi przyjaciółce. - Lubię wyjątkowo, Val. Może nawet się zakochałam? Sama nie wiem. Wiem natomiast, że on też zwraca na mnie uwagę. Jednak nie mam pojęcia, dokąd to nas prowadzi.

- Będzie dobrze - odparła stanowczo Val.

Siobhan pomyślała o wszystkich tych mężczyznach, z którymi kiedyś się umawiała. Jakże szybko fascynacja potrafi przerodzić się w niechęć...

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Bo jestem medium. - Uśmiechnęła się szeroko. - Zaufaj mi, zaufaj swoim uczuciom. A później opowiedz mi ze szczegółami, jaki był ten pocałunek, który dziś nastąpi.

- Zapomnij - mruknęła Siobhan pod nosem, kiedy Val wstała, by zamówić deser.

Miała świadomość, że przyjaciółka była szczerą i naprawdę wierzyła w swoje zdolności, ale dość często myliła się w swoich prognozach. Jednak na wszelki wypadek, by nie zapeszyć, Siobhan uśmiechnęła się i z nadzieją czekała na wieczór.

J.B. wyprostował się, odetchnął głęboko i ruszył w stronę domu Siobhan. Robił to dziesiątki razy, więc tym bardziej nie mógł zrozumieć, dlaczego tak bardzo się denerwował. Czuł ucisk w żołądku i zaschło mu w gardle.

Nacisnął dzwonek i czekał. Za plecami usłyszał śmiechy. Speszony odwrócił się, ale to tylko Ben i jego koledzy jeździli na rowerach i się wygłupiali. J.B. zastanawiał się, czy powinien zadzwonić jeszcze raz, czy lepiej poczekać. Była środa, więc Siobhan powinna być już w domu. Śmiał się w duchu sam z siebie, bo zachowywał się jak nastolatek, ale nic nie mógł na to poradzić.

Po chwili drzwi uchyliły się i zobaczył twarz gospodyni.

- Cześć, J.B., jak się masz? - przywitała go.

- Dobrze. Tak, świetnie - plątał się zmieszany. - Mam coś dla ciebie.

- Czyżby listonosz znowu pomylił domy?

- Nie, nie. To coś... ode mnie. - Wyciągnął rękę z małym pudełeczkiem.

Uśmiechnęła się nieśmiało i otworzyła drzwi szerzej.

- Dziękuję. Wejdiesz?

Wszedł, ale zatrzymał się zaraz za progiem.

- Muszę mieć oko na Bena.

- Rozumiem. Co to jest? - Spojrzała pytająco na pudełko.

Serce J.B. zabiło mocniej, a drobiazg w dłoni w jednej chwili wydał się cięższy o kilkanaście kilogramów. Co ona sobie pomyśli? - zastanawiał się przerażony. Czy dawanie biżuterii kobiecie jest jednoznaczne z wyrażeniem pragnienia, że chce się być z nią? Czy tego właśnie pragnął? Te i inne pytania przychodziły mu do głowy, a Siobhan stała i czekała.

Zanim podał jej pakunek, przełożył go z ręki do ręki i powiedział:

- Ben szykuje dla ciebie niespodziankę na urodziny. Pragnie wręczyć ci ją w piątek, a ja nie chciałbym popsuć mu wejścia. Dlatego jestem wcześniej z prezentem.

- To cudowne z twojej strony - rzekła szczerze. - Jesteś bardzo dobrym tatą.

- Czasami - powiedział cicho, wspominając ostatnie łąy syna. - W każdym razie proszę. - Podał jej pudełko.

Przyjęła podarek z godnością, ale oczy błyszczały jej jak dziecku w Boże Narodzenie. Zerwała wstążkę i otworzyła pudełko. Na atłasowej poduszeczce leżał celtycki naszyjnik.

- Jest śliczny. - Wzruszona przyłożyła dłoń do ust. - Gdzie go znalazłeś?

- Och, przypadkiem na niego wpadłem i pomyślałem, że może ci się spodobać - rzucił niedbale.

Prawda była taka, że pół dnia spędził w pracowni jubilerskiej, wybierając wzór, ale nie zamierzał o tym opowiadać.

- Bardzo mi się podoba. Pomożesz mi go założyć?

Podala pudełko i stanęła tyłem do J.B. Uniosła włosy, żeby ułatwić mu zadanie. Nachylił się i wciągnął zapach jej ciepłej skóry.

- Dziękuję - powtórzyła po chwili, odwróciła się i uśmiechnęła ciepło do B.J. A potem złożyła usta do pocałunku.

Myślał przez chwilę, że serce wyskoczy mu z piersi. Schylił się, by ich wargi mogły się spotkać. Westchnął, czując jej ciepło. Dosłownie musnął jej usta, pragnąc, by ta chwila się nie kończyła. Następnie pogłębił pocałunek, delektując się smakiem Siobhan. Była niczym miód.

Odwzajemniła pocałunek, czym sprawiła, że krew w nim zawrzała. Pragnął więcej. Chciał ją poczuć, przytulić, kochać. Niewinny całus przerodził się w coś pełnego namiętności i żaru. Miał jednak świadomość, że nie może jej

teraz posiąść, szczególnie że stali w uchylonych drzwiach frontowych. Z niebywałym żalem w oczach przerwał pocałunek.

Przygryzł wargę i popatrzył na nią smutno.

- Rozumiem, że naszyjnik naprawdę ci się podoba?

Zaśmiała się, łagodząc tym samym napięcie.

- Jest w porządku - rzuciła bez troski. Uniosła ręce i ujęła w dłonie jego twarz.

Pocałowała go ponownie. Równie namiętnie jak poprzednio. J.B. myślał, że eksploduje. Pożądał Siobhan z całych sił i już myślał, co mógłby zrobić, żeby dać upust uczuciom, kiedy kątem oka dostrzegł Bena. Ona również go zauważyła. Chłopiec siedział na rowerze przed jej domem i obserwował ich. Siobhan cofnęła się i zakłopotana poprawiła włosy.

J.B. zamarł. Nie wiedział, co zrobić, a bał się reakcji syna. Pierwszy raz całował kobietę inną niż matka Bena. Jednak ku jego zaskoczeniu chłopak uśmiechnął się tylko, jakby dawał im do zrozumienia, że nic wielkiego się nie stało. Po sekundzie przekręcił głowę, jakby coś przykuło jego uwagę. Przyglądał się czemuś, a uśmiech zniknął z jego twarzy. W jego oczach błysnęły łzy, ale nim zdążyli zareagować, wskoczył na rower i odjechał szybko.

- Może... - Siobhan wbiła wzrok w podłogę. - Może to nie najlepszy czas...

Próbował się uśmiechnąć.

- Przez ostatnie pół roku pewnie też nie był najlepszy, ale wiem, że Ben bardzo cię lubi i wierzę, że przywyknie do tego.

- Do czego?

- Do tego, że ja też bardzo cię lubię.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- W kręgu zawarta jest moc świata. Matka Ziemia jest okrągła, a Ojciec Niebo zatacza kręgi wokół niej. Wiatr wiruje, a fale morskie rozchodzą się promieniście ze środka oceanu.

Siobhan trzymała inkrustowany nóż w dłoni i recytowała pieśń w języku Indian Nawaho. Ubrana w tradycyjny indiański strój kreśliła krąg mocy na ziemi w swoim ogródku. Rytuał się rozpoczął.

Gdy zarys kręgu usypany z morskiej soli był gotowy, uroczyście ułożyła skórę w jego środku. Nabrała powietrza w płuca i poprosiła Stwórcę o pomoc.

- *Haiya naiya yana, yo wo yowa lana ya, na'eye lana heya'eye...* - zaczęła nucić pierwszą z pieśni.

Ceremonia Błogosławienia nawiązywała do wszystkiego, co pozytywne na ziemi. Szczęście, harmonia i zdrowie. Poszczególne elementy rytuału odwzorowywały obraz wszechświata, podkreślając ziemię jako dom człowieka. Kolejne zwrotki monotonnego śpiewu opowiadały historię, jak Indianie Nawaho zostali pobłogosławieni przez świątobliwych *díyin diné*.

Siobhan w skupieniu sięgnęła po gliniane miseczki, w których miała kolorowy piasek, sproszkowaną kukurydzę, płatki kwiatów i inne materiały konieczne do głównej części ceremonii. Uklękała z twarzą skierowaną na wschód. Pochyliła się nad rozłożoną skórą i palcem wskazującym oraz kciukiem zaczęła rysować Kobieta, Która Się Zmienia.

Słońce pięło się po nieboskłonie, a Siobhan pracowała w skupieniu. Kolejne fragmenty skóry pokrywały się żółtym piaskiem z dna rzeki, czerwoną ziemią z prairii, żółtą kukurydzą. Ciało miała ścierpnięte od klęczenia w jednej pozycji, ale nie śmiała nawet pomyśleć o przerwie. Jeśli tylko świątobliwi mieli odblokować jej zdolności i dać jej moc, pragnęła wynagrodzić im to ciężką i sumienną pracą.

Ostatnie promienie słońca zniknęły za górskimi szczytami, gdy skończyła

dzieło. Zanuciła ostatnie wersy rytualnej pieśni:

- Za nią i przed nią niech będzie błogosławiona. Nad nią i pod nią niech będzie błogosławiona. Wszędzie dookoła niech będzie błogosławiona. *Sa'ah naaghéi, bik'eh hózóó.*

Ignorując ból mięśni, wyprostowała się.

Wykończona fizycznie, ale pełna energii i podbudowana psychicznie, wyczekiwała. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale zakładała, że musi wydarzyć się coś spektakularnego. Jakaś kula energii pojawi się w ogrodzie albo uderzy grom z nieba. Coś, co naładuje ją mocą po wsze czasy.

Czas mijał, ale nic się nie działo. Noc zapadała szybko. Ptaki umilkły, na niebie pojawił się księżyc. Zawiedziona Siobhan dała wreszcie za wygraną i wstała. Rozmasowała obolałe i zdrętwiałe nogi.

Czuła smutek. Po tak długim oczekiwaniu, obietnicach i wreszcie po całym dniu rytualnych obrzędów nie czuła się ani trochę inaczej niż dzień, tydzień czy rok wcześniej.

- Kluski są o wiele lepsze, kiedy są ugotowane - stwierdził Ben, podziwiając własną pracę.

Papierowy obraz oblepiony był farbowanym makaronem. Siobhan przeniosła wzrok z dzieła na mistrza.

- A jak smakują pomalowane kluski, kiedy się je ugotuje? - spytała.

- Przeważnie jak ser - odparł poważnie, choć z trudem powstrzymywał śmiech.

- Niebo zatem musi smakować jak ser pleśniowy. - Wskazała na niebieskie spaghetti, z którego stworzono nieboskłon.

- Jesteś niemądra, Sisi.

- Za to ty jesteś bardzo zdolnym artystą - powiedziała z powagą. - Powieszę sobie twój prezent na ścianie, tu, w kuchni. - Przypięła kartkę do tablicy korkowej tuż obok lodówki. Następnie zwróciła się do J.B. - To jak,

jesteś gotowy na tacos z kurczakiem?

Usiedli we trójkę przy stole i rozmawiali o wydarzeniach minionego dnia. Siobhan nie pierwszy raz jadła razem z nimi, ale tym razem czuła, że coś się zmieniło. Prawdę mówiąc, musiała przyznać, że od ich pocałunku zmieniło się wszystko.

Miała kolegów w szkole i przyjaciół, utrzymywała też stałe kontakty z siostrami, ale dopiero kiedy ich usta zetknęły się w namiętym akcie, dotarło do niej, jak samotne wiodła życie. Dotychczasowe doświadczenia skłoniły ją do unikania kontaktów z mężczyznami. Przez swoje problemy z magią żaden z facetów, z którymi utrzymywała bliższe związki, nie traktował jej normalnie. Jedni bali się wiedzy, inni uważali za gorszą z powodu magicznej niemocy.

Po raz pierwszy od lat umówiła się na randkę. Uśmiechnęła się w duchu. Ciężko było to nazwać randką. Czekali, aż Ben zaśnie, i wymykali się do ogrodu. Na chłodnej trawie J.B. gorącymi pocałunkami i łagodnymi pieszczotami udowadniał, że magia niejedno ma imię.

Spojrzała znad talerza na roześmianego syna i ojca. Serce zabiło jej mocniej, bo bardzo lubiła spędzać z nimi czas. Cieszyła się razem z nimi, kiedy się śmiali, i smuciła, kiedy mieli jakieś troski. Cały czas jednak niepokoiło ją, czy w ogóle jest możliwe, by zaakceptowali ją taką, jaką miała się stać, szczególnie gdy sama nie mogła pogodzić się z faktem, że przemiana jeszcze nie nastąpiła.

Frustracja i rozczarowanie, które nieustannie odczuwała, nawet w tej radosnej chwili napełniły łzami jej oczy. Zamrugała szybko, żeby je powstrzymać, ale J.B. dostrzegł jej smutek. Spojrzał na nią zaniepokojony, ale uśmiechnęła się do niego jakby nigdy nic. Pomyślała, że od razu poczuła się lepiej, kiedy tak na nią patrzył. Resztę kolacji spędzili w doskonałych humorach.

Po posiłku Siobhan włączyła kanał z bajkami dla Bena.

- Możesz obejrzeć kilka kreskówek, a ja w tym czasie pozmywam naczynia - zaproponowała. - Potem zrobimy prażoną kukurydzę i razem coś obejrzymy.

- Super! - Ben klasnął w dłonie. - Justin ze szkoły opowiadał, że też będzie dziś oglądał film z rodziną. - Zarumienił się i spojrzał zakłopotany na Siobhan. - To znaczy my nie jesteśmy rodziną... Bo wiesz... Moja mama jest ciągle moją mamą i...

- W porządku, kolego - wtrącił się J.B. Jego głos, choć pełen spokoju i miłości, zdradzał też objawy zniecierpliwienia. - Choć mama nie żyje, nikt nigdy nie zajmie jej miejsca w twoim sercu. To oczywiste.

Siobhan doskonale rozumiała, co J.B. chciał powiedzieć synowi. Nie zmieniło to faktu, że poczuła ukłucie w sercu. Przecież nie chciała nikogo zastępować, tylko pragnęła stać się nowym członkiem ich rodziny.

- Jesteśmy przyjaciółmi i...

Urwała w pół zdania, bo gdy położyła rękę na ramieniu chłopca, umysł objawił jej niezrozumiałą wizję. Widziała Bena przed sobą i jednocześnie leżącego na podłodze. Oczy miał zamknięte, a nad jego ciałem pochylała się ciemnowłosa kobieta. Obraz zniknął tak szybko, jak się pojawił.

- Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - powtórzyła, bo wizja wytrąciła ją z równowagi i zapomniała, co mówiła.

- Chyba tak - odparł Ben, unikając wzroku Siobhan.

- A przyjaciele często oglądają razem filmy. Najpierw jednak muszę posprzątać po kolacji. Siadajcie do bajki, a ja zaraz wrócę.

- Leć, mały - zachęcił syna J.B. - Ja pomogę Siobhan, żebyśmy szybciej mogli usiąść do filmu.

Chłopiec pobiegł do salonu, a J.B. popatrzył na Siobhan.

- Wiesz, pewnie nie powinienem tego mówić, ale jestem już trochę zmęczony tą ciągłą obecnością Gabrielle. - Znużonym gestem potarł czoło.

Oderwała się na chwilę od zbierania talerzy ze stołu.

- Między nami czy między tobą i Benem?

- Między nami wszystkimi. Jesteś pierwszą kobietą od czasu... - Zawahał się. - Ben mówi o tym tak przekonująco, że czasem czuję, jakby naprawdę tu była - tłumaczył zakłopotany.

Podawała mu półmiski, sama wzięła talerze i przeszli do kuchni. Cała była spięta i zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć o swoich przemyśleniach. W końcu doszła do wniosku, że lepiej będzie podzielić się swoimi obawami.

- J. B., a co, jeśli to wszystko nie jest tylko wytworem wyobraźni Bena?

- O czym ty mówisz? - spytał zaskoczony.

Przytrzymała się kuchennego blatu, bo przestraszyła się własnych słów. Przez moment chciała cofnąć czas, ale wzięła się w garść i dodała:

- Możliwe, że Gabrielle naprawdę nas nawiedza.

- Jasne. To samo mówi psychiatra - rzucił ze złością.

Położyła mu rękę na ramieniu, choć sama nie wiedziała, komu chce bardziej dodać otuchy.

- Wiem, że będzie trudno ci to zrozumieć, ale od kilku wieczorów mam uczucie, jakby ktoś nas obserwował.

- Nic takiego nie miało miejsca - oburzył się J.B. - Mógł nas podglądać tylko ten obleśny dziad z naprzeciwka.

- Mówię poważnie - powiedziała cicho. - Nie posiadam pełni czarodziejskich mocy, ale potrafię wyczuć czyjaś obecność...

- Wystarczy, Siobhan - przerwał jej gwałtownie. - Te bzdury o czarach i magii dobre są dla czubków i miłośników New Age, ale proszę cię ostatni raz, nie zatruwaj tym głowy Benowi.

Przygryzła nerwowo wargi, tłumacząc sobie, że nie powinna się dziwić jego reakcji. Doskonale знаła stosunek J.B. do magii i wiary w nadprzyrodzone moce. Bardziej jednak niż podważanie historii jej rodu, zabolą ją, że nie ufał

jej, iż troszczy się o dobro Bena. Bo przecież troszczyła się bardzo, i to o dobro ich obu. Dlatego też była przekonana, że musi zapomnieć o urażonych uczuciach i za wszelką cenę im pomóc.

Miała ochotę przytulić go i przypomnieć, że swego czasu też cierpiał na nadmiar wybujałej wyobraźni. Zamiast tego rozłożyła dłonie w geście poddania.

- To twój syn i zrobisz, co uznasz za stosowne.

J.B. zwiesił głowę.

- Słuchaj, przepraszam, że na ciebie napadłem. Nie daję sobie już z tym rady. Tracę Bena i nie wiem, co mam robić. - Podeszedł do niej i ujął jej dłonie. - Hej, nie psujmy sobie wieczoru. - Pochylił się.

Odwzajemniła pocałunek.

Postanowiła więcej nie poruszać tego tematu, ale poprzysięgła sobie również, że postara się rozwikłać zagadkę.

Kwadrans później weszła do salonu. J.B. pólleżał na kanapie, a Ben siedział po turecku na podłodze.

- Proszę, skarbie. - Postawiła przed nim dużą miskę popcornu.

- Dziękuję, Sisi.

Zauważyła, że głos miał już śpiący, a oczy powoli mu się zamykały, mimo to wsadziła płytę do odtwarzacza i rozejrzała się za pilotem. Spostrzegła, że ma go J.B., więc usiadła obok niego. Chciał objąć ją ramieniem, ale bojąc się reakcji chłopca, zrobiła unik. Niezrażony tym J.B. chwycił ją w pasie i przytulił do siebie.

Spojrzał na nią znacząco, gdy na ekranie pojawiła się czołówka bajki Disneya. Siobhan uśmiechnęła się podstępnie i podała mu kukurydzę. Ben zdawał się drzemać, ale już po chwili chichotał na widok przygód Merlina i króla Artura.

Przy którejś wyjątkowo wesołej scenie chłopiec odwrócił się do nich.

Siobhan zamarła, spodziewając się gwałtownej reakcji, ale Ben uśmiechnął się tylko lekko zawstydzony i wrócił do oglądania bajki. Pomyślała, że to wszystko jest bardzo dziwne. Siedzieć tak we trójkę, zupełnie jak rodzina. Zarazem jednak było to bardzo miłe uczucie.

W połowie drugiego filmu Ben zasnął. Siobhan wstała, żeby go przykryć i odstawić popcorn. Spojrzała na drobne ciało leżące na podłodze i doznała małego deja vu. Cóż, jak na niespełnioną jasnowidzkę, poradziła sobie całkiem nieźle. Ciemnowłosą kobietą z wizji była ona sama.

J.B. przyglądał się Siobhan, jak z troską okrywała Bena kocem. Przypomniawszy sobie zdanie, którego nie zdążył wcześniej dokończyć. Była pierwszą kobietą od śmierci Gabrielle, którą darzył specjalnymi uczuciami.

Rok po śmierci żony szukał zapomnienia na kilku randkach w ciemno, jednak wszystkie okazały się niewypałami. Spotykał się z ładnymi i sympatycznymi kobietami, ale żadna z nich nie sprawiła, żeby jego serce zabiło szybciej.

Z Siobhan było inaczej.

Oczywiście było zbyt wcześnie, by nazwać po imieniu to uczucie. Kiedy zatem wróciła do niego, rozłożył jedynie ramiona, zapraszając ją do siebie. Posadził ją sobie na kolanach i wsunął dłoń w jedwabiste włosy. Uśmiechnął się ciepło, mając nadzieję, że Siobhan zrozumie to, czego nie potrafił jeszcze wyartykułować. Przyciągnął ją bliżej, aż ich usta się spotkały. Zarzuciła mu rękę na szyję i rozchyliła wargi.

Drżąc z podniecenia, wsunęła rękę pod jego koszulę, by poczuć napięte mięśnie. Całował ją namiętnie, jednocześnie pieszcząc. W pewnej chwili uświadomił sobie, że brną zbyt daleko. Wymagało to od niego wielkiego poświęcenia, ale przerwał pieszczoty i zabrał rękę z jej bioder.

- Nienawidzę się za to, ale muszę iść - powiedział przepaszająco. - O świcie mam lot w stronę kanionu.

- Jakaś część mnie też cię za to nienawidzi - wyszeptała bez gniewu.

- Tylko część? - Zmarszczył czoło.

- Druga część nasłuchuje, czy Ben się nie budzi.

- Ten tutaj? - Wskazał na syna. - Uwierz mi, trzęsienie ziemi by go nie ruszyło, ale rozumiem cię i obiecuję, że niedługo będziemy mieli czas tylko dla siebie.

- Moje podwórko czy twoje?

- Co powiesz na moje łóżko? Tak - dodał, widząc jej zmieszanie. - Moje łóżko. Kupiłem zestaw nowych, bardzo fajnych mebli do sypialni, kiedy przeprowadziliśmy się tutaj z Baltimore.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie jestem pewna...

- Tak?

- Czy dobrze robimy. - Spojrzała mu głęboko w oczy. - Nie chcę przelotnego romansu, J.B., a nie jestem pewna, czy jesteś gotów na coś więcej. Twoje decyzje nie dotyczą tylko ciebie, więc proszę, nie zaczynaj czegoś, czego nie możesz skończyć.

Zamyślił się nad jej słowami. Stawiała sprawę jasno i rozumiał, że musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy jest już gotowy. Sądził, że tak. Był świadomy, że Ben pewnie jeszcze nie, ale Siobhan była tak wyjątkowa, że warto podjąć wyzwanie.

Spojrzał z powagą w jej duże, zielone oczy.

- Jestem gotowy, droga pani - powiedział cicho. - Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

J.B. przerzucił syna przez ramię i w ten sposób dotarł do drzwi. Ben nawet nie jęknął przez sen. Weszli do środka i J.B. skierował się w stronę

schodów prowadzących do pokoju chłopca. Przechodząc obok salonu, coś niepokojącego zwróciło jego uwagę.

Na środku pokoju porozrzucone były samochodziki Bena. J.B. był święcie przekonany, że posprzątał zabawki przed wyjściem na kolację do Siobhan. Czy to możliwe, żeby chłopiec zdążył na nowo je porozrzucać? Podszedł bliżej, bo zaintrygował go sposób, w jaki zabawki leżały na podłodze.

Samochodziki ustawione były w dwa pasy. Zachowany porządek i idealnie równe odległości między pojazdami zaniepokoiły J.B. Pomyślał, że Ben zazwyczaj nie dbał o taki porządek. Między dwoma sznurami pojazdów ułożona była starannie scena wypadku. Pięć samochodzików wyglądało jak po wielkiej kraksie.

J.B. poczuł się bardzo nieswojo. Przytulił mocniej Bena i nerwowo rozejrzał się po pokoju. I choć lód ścisnął jego serce, to zmusił się do logicznego myślenia. Doszedł do wniosku, że był zdenerwowany przed wyjściem do Siobhan i widocznie nie zwrócił uwagi na to, co robi syn. Zły na siebie, odkopnął samochody pod ścianę i zaniósł Bena na górę. Po drodze pomyślał, że musi znaleźć jakieś koce, bo zrobiło się wyjątkowo zimno.

- Hej, kolego, czy nie chcesz iść na zabawę?

Zjedli wczesną kolację. J.B. był trochę zły, bo musiał zmuszać syna do każdego kęsa. Chciał go teraz namówić na świętowanie Halloween, ale Ben był osowiały i małomówny. Siedział na brzegu łóżka, kiwał stopami i wpatrywał się w dywan.

J.B. nie rozumiał, co się stało. Cały dzień chłopiec zachowywał się normalnie. Spędzili czas razem i Ben mógł z nim polecieć nad Wielki Kanion. Później zostawił syna u kolegi. Wszystko wskazywało na to, że Ben dobrze się tam bawił, kiedy jednak zbliżał się wieczór, malec coraz bardziej markotniał, a po powrocie do domu przestał się w ogóle odzywać.

- Tatusiu, chciałbym pójść, ale...

- Ale?

- Nie wiem, czy powinienem zostawiać mamę - wyjaśnił niepewnie, po czym ściszył głos i niemal szeptem dodał: - Ona cały czas płacze.

Skrzywił się w duchu. Bri zawsze sięgała po ten argument, bo wiedziała, że jest wrażliwy na łzy. Manipulowała tak długo, aż osiągała to, czego pragnęła. Z trudem stłumił przekleństwo. Powstrzymał się też od komentarza, bo pamiętał, co mówił lekarz Bena.

- Jestem przekonany, że da sobie radę. Przecież za godzinę wrócimy. - Wskazał na kostium.

- Przebierz się i zmykamy.

Dziesięć minut później maszerowali pod dom Siobhan. Siedziała na schodach, na głowie miała spiczasty kapelusz czarodzieja. Do tego miała czarna i wysokie czarne buty, które przyprawiły J.B. o kilka dzikich fantazji.

- Cukierek albo psikus, Sisi! - krzyknął Ben i wyciągnął przed siebie wiklinowy koszyk.

- Robi się, oficerze Benie - odparła wesoło i wsypała garść słodyczy do kosza.

- Teraz musisz panią aresztować, oficerze - wtrącił J.B.

- A za co? - Spojrzała na niego zawadiacko spod długich, czarnych rzęs.

- Za zakłócanie mojego spokoju. - Głodnym wzrokiem przesunął wzdłuż jej nóg, zatrzymując się na granicy obcisłej sukienki.

- Mam nadzieję, że mnie tam nie ugryziesz, Drakulo.

- Och, chciałem tylko trochę skubnąć. - Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając duże, plastikowe zęby wampira, i pocałował Siobhan w usta.

- Tato, musimy iść - przywołał go do porządku zniecierpliwiony Ben. J.B. wyprostował się gwałtownie.

- Tak jest, kolego. Ruszaj do następnego domu. Zaraz cię dogonię.

- Mam dla ciebie cukierka, gdybyś zechciał później wpaść - odezwała się

Siobhan, kiedy Ben oszczędził kawałek.

- Gdybym? Nawet nie wiesz, jak cudownie wyglądasz - zachwycił się J.B. - Wróć, jak tylko Benowi znudzą się słodczyce. - Spojrzał na syna, który właśnie dostawał kolejną porcję smakołyków. - Ale być może będziesz musiała chwilę poczekać.

Nie mógł przestać o niej myśleć.

Ben zasnął stosunkowo wcześnie, więc J.B. udał się na taras. Przez jakiś czas przyglądał się Siobhan, która odprawiała coś na kształt ceremoniału. Patrzył na nią zafascynowany. Księżyc, który był w pełni, odbijał się w jej kruczoczarnych włosach i rozświetlał suknię. Pomyślał, że wyglądała jak wróżka z bajki.

Klęczała przed prowizorycznym ołtarzem. Przed nią stały cztery świece i jedzenie w miskach. Ogień płonący w ogrodowym kominku oświetlał delikatny materiał jej stroju, uwydatniając bajkową figurę. Kiedy uniosła ręce w dziękczynnym geście, jej piersi niemal wylały się przez materiał. J.B. odetchnął ciężko.

W ciepłym powietrzu wieczoru rozbrzmiał jej głos:

- Zeszłej nocy zbladła zasłona między królestwami. Dziś zaczyna się czas poza czasem. Z otwartym sercem klękam przed ołtarzem, czekając na przewodnictwo tych, którzy odeszli.

Wstała powoli, potarła zapalną i zapaliła wszystkie świece. Delikatne płomyczki oświetliły skupioną, piękną twarz.

- Jak pamięta twoja córka, gdy światło świec ujrzą oczy, niech wielki słoneczny krąg wkoło się potoczy.

Po tych słowach dotknęła dłonią naszyjnika. J.B. zauważył, że nie zdjęła go od chwili, kiedy jej go podarował. Uśmiechnął się zadowolony.

Siobhan sięgnęła po mały nóż. Ostrze błysnęło groźnie w świetle księżyca. Włożyła sztylet do srebrnego kielicha, następnie pocięła duże jabłko

na ćwiartki, a każdą część położyła przy jednej świecy. To samo zrobiła z bochenkiem chleba. Odłożyła nóż, wstała i uniosła kielich.

- Czczę, oddaję hołd, witam...

Upiła łyk z naczynia. J.B. poczuł nagły powiew zimnego powietrza. Wiatr sprawił, że materiał sukni przylgął do jej ciała, cudownie podkreślając figurę. Nie mógł oderwać oczu od wypukłych piersi, idealnie płaskiego brzucha oraz zachęcająco wystających bioder.

- Z nadejściem świtu, o wschodzie księżyca i podczas przyływu, niech dobro dosięgnie przeszłości i usunie zło. Niech stanie się dobro, gdy nadejdzie nowy rok z jego dobrymi nadziejami i marzeniami. Niech będzie błogosławiony.

Po tych słowach zaczęła śpiewać melodyjną celtycką pieśń. Zaczęła również tańczyć. Kiedy zataczała kręgi, jej suknia wirowała, a J.B. poczuł, jak i jemu kręci się w głowie. Patrzył na nią oniemiały z zachwytu i przejęcia. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął kobiety.

Nadal nie był gotów uwierzyć, że jej przeznaczeniem było zostać czarodziejką, ale zaczynał podejrzewać, że musiała posiadać jakieś magiczne moce. Nieświadomy własnych ruchów, wstał i ruszył w jej stronę. Coś go do niej ciągnęło, czemu nie potrafił i nie chciał się oprzeć.

Chłodny podmuch wiatru wytrącił Siobhan z równowagi. Zawahała się przez chwilę i w tym samym momencie dostrzegła J.B. Zatrzymała się i spojrzała zapraszająco. Podszedł i wziął ją za rękę. Drugą dłoń oparł na jej biodrze. Uśmiechnął się, dodając jej odwagi.

- Czy zaśpiewasz dla mnie? - poprosił.

Zaczęła nucić starożytną pieśń o miłości. Nie odrywała wzroku od jego oczu. Czowała się szczęśliwa, nie widząc w nich cienia smutku. Rozumiała, że zaczyna się coś niezwykłego i cudownego.

I kiedy to pomyślała, poczuła lodowate ukłucie w sercu. Zabrakło jej

tchu, przestała śpiewać i zachwiała się, wpadając na J.B.

- Wszystko w porządku? - Zaniepokojony objął ją ramieniem. - Już dobrze, już dobrze - wyszeptał uspokajająco.

Po chwili Siobhan poczuła się lepiej. Dreszcze minęły, a w jego ramionach znalazła ukojenie. Wtuleni w siebie bujali się łagodnie, szczęśliwi i spokojni. Nachylił się, by ją pocałować.

Gabrielle stała tuż za nimi i trzęsła się z gniewu. Jej serce przepełniała niewypowiedziana wściekłość, która mogłaby ją zabić, gdyby nie była już martwa.

Nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, jak to możliwe, żeby jednocześnie tak bardzo kochać i nienawidzić. Wyciągała rękę, by zadać cios, a zaraz potem pogłaskać. W rezultacie nie robiła nic, tylko kipiała z gniewu. Cierpiała, nie rozumiała bowiem, dlaczego jej nie widzą, dlaczego nie może ich dosięgnąć. Czowała, że wydarzyło się coś niezwykłego tej nocy. Widziała, jak inne duchy uciekają z podwórka. Ona też czuła się inaczej. Jakby bardziej realnie.

Przed oczami stanęły jej obrazy. Jedzie samochodem. W następnej scenie umiera w bólu. Dobry Boże, w straszliwym bólu. Bólu wcale nie pochodzącym ze strzaskanych żeber i zmiażdżonej głowy, ale z niewypowiedzianej złości i smutku, że nie dostanie drugiej szansy.

Siobhan przytuliła się mocniej do J.B.

- Poczujesz to?

- Chodź. Zaraz cię rozgrzeję.

Bri przyglądała się im bezradnie, jak tańczyli na trawie. Zgrzytała zębami, widząc, jak jej mąż nachyla się, by pocałować tę sukę. Łzy napłynęły do jej martwych oczu. Chciała wykrzyknąć, że to nie w porządku, że to nieuczciwe. Była przekonana, że J.B. wyczuwa jej obecność. I wiedziała, że to ona powinna być w jego ramionach, tylko ona...

Chwila! - pomyślała. Jeśli wyczuł ją raz, to może nie miała racji i wciąż

była nadzieja na drugą szansę. Ben widział ją i słyszał. Zamknęła oczy i skupiła myśli. Po chwili stała na środku pokoju syna. Spojrzała z troską na swoje malutkie szczęście śpiące spokojnie w łóżku.

Fala gniewu ponownie uderzyła ją w skronie. Ich synowi groziło niebezpieczeństwo, ale J.B. był zbyt zajęty macaniem tej suki, żeby zwrócić na to uwagę. Podeszła do łóżka. Wzruszyła się widokiem spokojnej twarzy chłopca. Wyciągnęła rękę, żeby poprawić niesforny kosmyk włosów.

- Już dobrze, kochanie - powiedziała cicho. - Mama tu jest, wszystko będzie dobrze.

- Mama?

Zaskoczona spojrzała na Bena, który otworzył zaspane oczy i usiadł na łóżku.

- Co tu robisz, mamoo?

- Chciałam zobaczyć, czy wszystko u ciebie dobrze. Wyglądałeś na zaniepokojonego.

- Miałem złe sny. Wydawało mi się, że są tu straszne potwory.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Już wszystko dobrze. Już ich nie ma. Spojrzał na nią zaciekawiony.

- A co będzie, jeśli wrócą?

- Nie wrócą, skarbie. - Pogłaskała go po twarzy. - Nie wrócą, jeśli schowasz się w bezpiecznym miejscu. Złe sny nie mogą tam wchodzić.

- Czy pójdziesz tam ze mną, mamusiu? I pogłaszcz mnie jeszcze. Zawsze lubiłaś to robić.

Bri oniemiała z wrażenia.

- Czy ty... Czy ty to czujesz?

- Tak, ale twoja ręka już nie jest taka zimna jak wcześniej. - Ziewnął szeroko. - Czy możesz mnie przytulić?

Nie wiedziała, czy może. Pragnęła, by to było możliwe, ale miała

wątpliwości. Wsunęła się pod kołdrę i położyła obok syna. Wzruszenie odbierało jej mowę.

- Czuję, jak bije ci serce, mamó. Jak to możliwe?

- To siła miłości, synku - odpowiedziała łagodnie, starając się powstrzymać drżenie głosu. - To jak, kochanie? Gdzie jest nasze bezpieczne miejsce?

- W San Diego.

Zaśmiała się.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo mają ocean i piękne zoo - wyjaśnił z powagą.

Gabrielle na wpół słuchała syna, a na wpół delectowała się chwilą. Dziękowała w myślach Bogu za to, co dostała. Marzyła o tym, by jeszcze kiedyś poczuć syna. Z drugiej strony furia, która w niej narastała, mogła zniszczyć wszystko na jej drodze. J.B. ją zdradzał. Zapomniał o niej i starał się, żeby Ben również to zrobił.

Ale to nigdy nie nastąpi, pomyślała z satysfakcją.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Siobhan czuła, że coś wisi w powietrzu, lecz nagle wszystko się uspokoiło. Powietrze znów wypełniło się zapachem kwiatów. Księżyc wyszedł zza chmur i sprawił, że ogród wyglądał jak zaczarowany.

Rozchyliła usta, czekając na pocałunek. J.B. nie kazał jej długo czekać. Przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował gwałtownie, namiętnie. Poczowała, jak kolana uginają się pod nią, a w głowie jej wiruje.

Wsunęła ręce pod koszulę i z satysfakcją zaczęła gładzić muskularne plecy J.B. Czuła się cudownie.

Podciągnął jej sukienkę. Poczowała rześki powiew na pośladkach, a potem spragnione dłonie J.B. Pieścił ją chwilę, a później zsunął materiał z jej ramion. Sukienka opadła na trawę.

Przerwał gorący pocałunek i spojrzał na Siobhan z uśmiechem.

- Celtyckie rytuały odprawia się nago - powiedziała - ale nie chciałam szokować sąsiadów.

- Nago ?

Uśmiechnął się szelmowsko i nim zdążyła coś powiedzieć, wyskoczył z butów, zrzucił koszulę i zaczął rozpinąć spodnie.

- Co robisz? - Zachichotała.

- Czyżbyś czuła się zszokowana?

Pokręciła głową. J.B. rozbierał się dalej, a ona pożerała go wzrokiem. Służba w wojsku dała mu ciało wojownika. Silne i sprężyste. Zadrzała z rozkoszy na myśl, że chce je ofiarować właśnie jej.

- Nie jestem zszokowana, tylko pod ogromnym wrażeniem. - Nie odrywała od niego oczu.

Odrzucił spodnie na trawę i podszedł do niej. W oczach miał coś dzikiego i szalonego. Spodziewała się, że brutalnie rzuci ją na trawę i będą się szaleńczo kochać, lecz zamiast tego przylgnął wargami do jej czoła. Następnie całował jej oczy, nos, policzki. Musnął wargami usta i szyję. Uklęknął, by oddać hołd jej piersiom. Każdej z osobna. Z należną czcią pieścił ustami sutki. Dreszcze rozkoszy wstrząsały jej ciałem. J.B. nie przestawał jej całować. Niżej i niżej.

Rozchyliła nogi i odrzuciła głowę do tyłu. Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła jego twarz do swojego ciała. Jęknęła cicho. Nie potrzebowała wielu pieszczot, by osiągnąć szczyt przyjemności, ale pragnęła jeszcze więcej. Dlatego klęknęła obok niego i pocałowała go namiętnie.

Położyli się na trawie. J.B. pieścił jej nagie, napięte ciało. Drżała i wiała się pod jego dotykiem. Sutki miała tak napięte, że aż bolały. Chciała go błagać,

by ulżył jej pragnieniom.

Jej ręce błędziły po karku i ramionach J.B. Zwichnął bark podczas meczu, pomyślała. Dłoń przesunęła się dalej. Tu ma bliznę po bójce w barze, przemknęło jej przez głowę.

Westchnęła. Nie miała pojęcia, skąd to wszystko wie. Przesunęła dłonie i poczuła mrowienie w palcach. Z początku łagodne, potem coraz silniejsze. I wtedy stało się. Coś się w niej otworzyło. Pożądała go z całych sił, ale za erotycznym uniesieniem kryło się coś więcej.

Przyjaźń, zauroczenie, szczęście, nadzieja... Słowa przemykały jej przez głowę jak obrazy. A dalej samotność, skrucha, niepokój, tęsknota.

Mieszanka emocji wstrząsnęła jej ciałem. Poczowała silne współczucie dla J.B. Był wspaniałym człowiekiem i ojcem. Zasługiwał na szczęście, pomyślała. Dałaby wiele, gdyby tylko знаła sposób, by ulżyć bólowi, który starał się ukryć za czarującym uśmiechem.

- Twoje dłonie są tak diabelnie gorące - wymamrotał.

Otworzyła oczy i zaskoczona spostrzegła, że spód jej dłoni płonie jasnym światłem. Coś na kształt elektrycznego, kulistego ładunku formowało się w jej rękach. Pochłonięty pieszczotami J.B. nie spostrzegł tego co ona. Dotknęła raz jeszcze jego ciała. Kolorowe ogniki zatańczyły wokół nich. Poczowała wyraźnie, że jego kontuzja nogi ustępuje.

Serce zabiło jej mocniej. Pytania pojawiły się w głowie. Czy zrobiła to? Czy naprawdę go wyleczyła? Kiedy zniknął siniak, światło zmieniło barwę na żółtą. Niepokój opuścił J.B. Kolor żółty ściemniał i zmienił się w pomarańczowy, osłabiając żal J.B. Nie zlikwidował go co prawda, ale znacznie osłabił. Światło na nowo błysnęło bielą, a następnie zgasło.

Łzy radości i triumfu napłynęły jej do oczu. Wiedziała, że całe dobro, które na niego spłynęło, wydało mu się czymś oczywistym. Po prostu stało się. Jednak Siobhan wiedziała, że całe jej życie zmieniło się. Czekala bardzo długo

na ten dar, a zjawił się tak niespodziewanie.

J.B. przekręcił się na plecy i pozwolił, by położyła się na nim. Nie przestawał jej całować. Poczula jedność z niebem, ziemią i mężczyzną, w którego ramionach leżała. Całkowicie poddała się jego woli. Zsunął ją łagodnie, aż poczuła go w sobie. Jak w transie zaczęła poruszać biodrami, chcąc go poczuć mocniej i pełniej. Dotrzymywał jej tempa w coraz gwałtowniejszych ruchach, aż ich ciałami wstrząsnął dreszcz niewypowiedzianej rozkoszy.

- Siobhan, ja...

- Wiem, ja też... - wyszeptała.

Pocałował łagodnie jej rozchylone wargi.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o nieszkowanie sąsiadów - powiedział, kiedy uspokoił oddech. - Gdybym wiedział, że będziesz taka głośna, zabrałbym cię do środka.

- Ja? - oburzyła się ze śmiechem. - Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ktoś wezwał policję po tym, co tu wyrabiałeś.

- Wszystko przez ciebie. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu.

- Traktuję to jako komplement.

Pocałowali się raz jeszcze i oparła głowę na jego ramieniu. J.B. spojrział w rozgwieżdżone niebo. Był gotów się założyć, że gwiazdy błyszczały jaśniej niż godzinę temu. Pomyślał, że nawet jeśli to nieprawda, to i tak zdawało mu się, że doznał objawienia. Doświadczył z Siobhan czegoś niepowtarzalnego. Zrozumiał, że była wyjątkowa. Był tego całkowicie pewien, choć tak wielu rzeczy wciąż o sobie nie wiedzieli. Zaśmiał się w duchu, że nie byli jeszcze na prawdziwej randce, a oto leżeli nadzy, on zaś planował spędzić z tą kobietą resztę życia.

- Co cię tak śmieszy?

- Umówisz się ze mną na randkę? - spytał z udawaną nieśmiałością.

- Jasne. Teraz? To chyba powinniśmy coś na siebie włożyć?

Pogładził jej nagie ramię.

- Nie, nie teraz - odparł cicho. - Lubię, gdy jesteś naga. A później zabiorę cię na kolację, może pójdziemy do kina.

- Brzmi nieźle. Ale teraz jedyne miejsce, o jakim marzę; to łóżko. -
Ziewnęła dyskretnie.

- Żartujesz? Przecież jeszcze nie ma nawet dziesiątej.

Jęknęła ciężko.

- Tylko mi nie mów, że jesteś nocnym markiem! Ja wcześniej się kładę, ale wstaję z kurami.

J.B. złapał się za głowę.

- O nie, tylko nie skowronek! To komplikuje sprawy.

- Jakie sprawy? - Uniosła się na łokciu i przyjrzała się badawczo J.B.

Pomyślał, że jeszcze dwa dni temu miałyby opory przed powiedzeniem tego, co planował. Teraz jednak było całkiem inaczej.

- Sprawy między mną i tobą. Co ty na to?

- Może. - Wzruszyła ramionami.

- Może? Tylko może? Spojrzała na niego zawadiacko.

- No cóż, musisz się postarać i przekonać mnie, że to dobry pomysł.

- Wejdźmy do środka, to cię przekonam.

- Pewnie jutro wstanę trochę później, co?

- Zdecydowanie tak.

Pozbierali ubrania z trawy, złapali się za ręce i chichocząc, uciekli do domu. J.B. zaprowadził Siobhan do sypialni, a sam poszedł sprawdzić, czy wszystko dobrze u Bena.

Zaskoczyło go, że w pokoju syna znów było bardzo zimno. Przykrył chłopca ciepłym kocem i uciekł do ciepłego łóżka. I gorącej kobiety, która tam na niego czekała.

Obudziła się z uczuciem niepokoju.

Czuła się zagubiona, nie wiedziała, co ją wyrwało ze snu. Odwróciła się i zobaczyła, że J.B. przygląda się jej.

Ponownie zaczęli się kochać. Długo, namiętnie i delikatnie. Potem znów zasnęli wtuleni w siebie.

Kiedy obudziła się kolejny raz, poczuła ból. Intensywny ból, łamiący serce. Ale to nie był jej ból. Chciała przytulić się do J.B., lecz cały czas coś nie dawało jej spokoju. Próbowwała wsłuchać się w ciszę nocy i zrozumieć, co nie pozwala jej spać. Nic nie słyszała. Wyśliznęła się z łóżka i wyszła z sypialni. Z sercem bijącym ze strachu poszła do pokoju Bena. Drżącą ręką otworzyła drzwi.

Boże, jak tu zimno, pomyślała. Dostała gęsiej skórki, ale od razu wyczuła, że nie była to wina jedynie niskiej temperatury. Coś nie tak było w powietrzu. Jakaś negatywna, odpychająca energia.

Serce zabiło jej mocniej. Nerwowo rozejrzała się po pokoju. Miała nadzieję, że są tu sami z Benem. Chociaż nie dostrzegła nic niepokojącego, wyszeptała słowa zaklęcia ochronnego. Krąg delikatnego, jasnego światła rozświetlił sypialnię. Podeszła szybko do łóżka. Chłopiec spał spokojnie pod dwoma kocami. Dotknęła jego czoła i zauważyła, że jej dłoń rozpala się łagodnym światłem. Jej zmysły wypełniły się emocjami. Gniewem, winą, bólem, złością i miłością. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że światło jej dłoni uspokoi chłopca.

Zawiedziona zorientowała się, że nie daje sobie rady. Pomyślała, że być może ból dziecka wrył się zbyt głęboko w jego serce i jedna sesja nie wystarczy. Uznała, że nie może zostawić go tutaj samego. Postanowiła przenieść go do sypialni J.B., żeby chłopiec mógł spać obok swojego ojca. Podniosła małe ciało i ostrożnie wyszła z pokoju.

Kiedy się odwróciła, stanęła oko w oko z rozwścieczonym duchem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Siobhan stanęła jak wryta, a jej serce waliło jak oszalałe. Żadne lekcje, które brała w Centrum, nie przygotowały jej na taką sytuację. Znała wszystkie teorie dotyczące wróżenia z kuli, odnajdywania idealnego pomocnika, a także przenoszenia ludzi i przedmiotów dla zabawy i korzyści, jednak nie miała żadnej praktycznej wiedzy na temat walki ze wściekłą zjawą.

Rozpoznała Gabrielle, ponieważ Ben odziedziczył jej urodę. Musiała być bardzo piękna za życia, jednak teraz odraza wykrzywiła jej twarz, a na ustach pojawił się szyderczy uśmiezek. Twarz kontrastowała z dobrze ułożonymi, brązowymi włosami i kobiecym strojem okrywającym sylwetkę w kształcie klepsydry. Można" było odnieść wrażenie, że jest o wiele bardziej niebezpieczna, niż na to wyglądała.

Siobhan próbowała zignorować drżenie nóg i trzymała mocno Bena. Mimo że bała się śmiertelnie, była prawie pewna, że duch Gabrielle nie skrzywdzi syna. Co do siebie jednak nie miała takiej pewności. Wściekłość była od zjawy niczym luna. Jej energia nie była biała, lecz zacieniona szarymi smugami.

Przyjrzała jej się z bliska. Nienawiść czaiła się w głębi wymarłych, ciemnych oczu, jednak na dnie tliło się wspomnienie agonii. Musiała kiedyś doświadczyć ogromnego bólu.

Siobhan przełożyła Bena na drugą rękę i przywołała swój trzeci krąg tej nocy. Poczowała dumę, że tak szybko się uczy, ale zaraz ponownie skoncentrowała się na problemie.

Kiedy zbliżała dłonie do zjawy, miała wrażenie, że odmrozi sobie koniuszki palców. Nie miała pojęcia, jak pokonać czy odczarować złowrogą siłę, która z nią walczyła. Zrobiła więc jedyną rzecz, którą potrafiła. Lawenda i

woda nie zdały egzaminu, więc skoncentrowała się na wysyłaniu jasnopomarańczowych i żółtych fal elektrycznych.

- Musisz odejść - szepnęła.

Oczy Gabrielle poszerzyły się ze zdziwienia. I po chwili zniknęła.

Siobhan zamrugała kilka razy i rozejrzała się dookoła. Duch najwyraźniej sobie poszedł. Pokój wydawał się o wiele cieplejszy. Odetchnęła głęboko. Adrenalina nadal wypełniała jej żyły, ale strach nieco się zmniejszył.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na twarz Bena. J.B. miał rację - to dziecko mogło spać wszędzie. Zniosła go do sypialni i położyła tuż obok taty. Obaj leżeli płasko na plecach z rękami nad głową. Jaki ojciec, taki syn, pomyślała.

Jej humor stopniowo się ulatniał, kiedy zorientowała się, że dla niej nie było już w łóżku ani odrobiny miejsca.

Czy znajdą dla mnie miejsce w swoim życiu? - zapytywała się w duchu. Westchnęła, podumała chwilę, wreszcie postanowiła wracać do domu. Najlepiej zrobi, jeśli spędzi tę noc w swoim łóżku.

Przede wszystkim nie zamierzała spać w łóżeczku Bena. Poza tym musiała skontaktować się ze swoją rodziną i dowiedzieć się, czy mogą coś jej poradzić w sprawie walki z duchem. Dla bezpieczeństwa i jej, i J.B., i oczywiście Bena. Żadne z nich nie miało szans na szczęście, jeśli nie rozprawią się z przeszłością.

Zmówiła, czy raczej zaśpiewała modlitwę Nawahów za chłopców. Na szczęście będą mogli spać i odpoczywać całą noc i nikt im nie będzie przeszkadzał. Zamknęła drzwi i ruszyła w stronę schodów. Kiedy tylko położyła dłoń na barierce, poczuła chłód za plecami. Odwróciła się.

Gabrielle była ledwie kilka kroków od niej. Twarz miała wykrzywioną z nienawiści. Podniosła rękę.

- Odejdz! - krzyknęła. Zjawa posiadała ogromną siłę. Siobhan runęła w dół po chodach.

J.B. wyskoczył z łóżka natychmiast, gdy tylko usłyszał krzyk. Sięgnął po bokserki i wskoczył w nie jednym susem. Dobiegł do drzwi, zanim jeszcze dobiegł go dźwięk ciała upadającego na podłogę.

Ben, przebiegło mu przez myśli.

Jednak kiedy włączył światło, zobaczył, że syn stoi samotnie na szczycie schodów i tuli pluszowego pieska. Dopiero wtedy dotarło do niego, że Siobhan nie było w łóżku. Wówczas zauważył, na kogo Ben patrzy ze łzami w oczach.

- Mój Boże! - Minął chłopca i jak szalony pognął schodami na dół, gdzie leżała nienaturalnie wykrzywiona Siobhan.

- Czy ona... czy ona... nie żyje, tato? - spytał Ben.

- Nie, kochanie - odparła słabym głosem. - To tylko wiatr mnie strącił.

J.B. przytrzymał ją troskliwie, kiedy próbowała się podnieść.

- Nie wstawaj - poprosił. - Powiedz, gdzie cię boli.

- Będę cała w siniakach, ale poza tym nic mi nie jest.

- Pozwól mi zobaczyć.

Delikatnie uciskał jej głowę i kark. Po chwili przesunął dłonie wzdłuż całego ciała, aby sprawdzić obrażenia.

- Nic mi nie jest - zapewniła, ale po chwili zacisnęła powieki z bólu. - Poza ręką...

Między łokciem a nadgarstkiem nie miała zupełnie czucia. Złamanie mogło być bardzo poważne, więc J.B. postanowił odwieźć ją do szpitala. Wsunął ramię pod jej plecy, żeby pomóc jej usiąść.

- Co się właściwie stało? - spytał. Odetchnęła głęboko, spuściła wzrok i przytuliła się do niego.

- Zostałam zepchnięta - wyszeptała.

- Co takiego? - oburzył się, a później poklepał ją po plecach. - Jest już późno i musisz być zmęczona. Pewnie potknęłaś się w ciemności.

- Nie słyszałeś? Zostałam zepchnięta ze schodów, J.B. - Zobaczył strach

w jej oczach, kiedy dokończyła: - Nie mam co do tego wątpliwości.

Rozejrzył się wokoło. Ben patrzył na nich z góry schodów, przyciskając do siebie pieska. Wyraz rozpacz i poczucia winy malował się na jego dziecięcej twarzy. J.B. poczuł, że jego serce niemal pęka z bólu.

Nie mogło już być gorzej, pomyślał. I nagle przyszło mu do głowy, że to Ben musiał zepchnąć Siobhan. A miał nadzieję, że chłopiec ją jednak polubi.

Odwrócił się z wściekłością i krzyknął:

- Nie jesteś moim synem! To...

- Ja tego nie zrobiłem, tato. Przysięgam! - bronił się.

Siobhan pokręciła głową.

- To nie był Ben. To była Gabrielle.

J.B. usiadł na piętach z wyrazem rozdrażnienia na twarzy.

- Ona wie, mamó - szeptał Ben. - Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego chciałaś skrzywdzić Sisi?

Chłopiec mówił zwrócony twarzą do ściany. Znowu. Strach i złość J.B. skierowały się na jego syna.

Dlaczego nie potrafi zaakceptować sytuacji? - rozważał bezradnie. Życie się kończy, ale coś innego się zaczyna. Minęły już dwa lata i powinien pochować swój ból. Ile czasu jeszcze będę musiał walczyć z urojeniami Bena?

- Pójdę poszukać czegoś, co posłuży za szynę do ustabilizowania ręki. -

Wstał. - To będzie musiało wystarczyć do czasu, kiedy zbada cię lekarz.

Dotknęła przedramienia i syknęła z bólu.

- Może poradzimy sobie bez tego.

- Zapomnij o tym! Jeśli ręka jest złamana, będą musieli ci ją poskładać i wsadzić w gips.

- Mam już moce uzdrawiające, więc... Podniósł dłoń.

- Jestem pewien, że niektóre z twoich eliksirów mogłyby złagodzić ból, ale nie naprawią złamanej kości.

Podniosła oczy, aż ich spojrzenia się spotkały.

- Do tej pory udawało się nam zaprzeczać, kim naprawdę jestem. Jak mogłam oczekiwać, że to zaakceptujesz, skoro ja sama nie potrafię?

- O czym ty mówisz?

- Podczas ostatniego tygodnia odzyskałam swoje dziedzictwo. Jestem pełnoprawną czarodziejką. A mój dar polega na mocy uzdrawiania.

- Ty jesteś czarodziejką, Sisi? Ojej! Prawdziwą czarodziejką? Z magicznymi mocami i takimi tam?

- Tak, Ben. - Uśmiechnęła się. - Z takimi tam. J.B. patrzył na nią zaskoczony.

- Nie bądź śmieszna. I nie wciągaj w to mojego syna! - Wzburzony wyszedł do kuchni, aby poszukać czegoś do usztywnienia ręki.

Psiakrew! - kłął w myślach. Wszystko się między nimi tak dobrze układało. Dlaczego wycięła mu taki numer? Odsunął szufladę ze sztuccami. Czy jej się wydawało, że może przekonać do siebie Bena poprzez te bzdury o magii?

Próbował opanować złość. Nie chciał kłócić się z Siobhan przy synu, ale musiał jej powiedzieć, że takie zachowanie jest nie do przyjęcia. Wrócił do przedpokoju z długą drewnianą łyżką, i rolką szerokiej taśmy.

Siobhan chciała kontynuować przerwana rozmowę:

- Moja moc nie jest śmieszna, J. B. - przekonywała. - W każdym razie nie dla mnie. Wiem, że trudno w to uwierzyć...

- Ja w to wierzę, Sisi - powiedział Ben.

- I ja wierzę we wszystko o twojej mamie - odparła szczerze.

- Przestańcie! W tej chwili! - krzyknął J.B., nerwowo przeczesując włosy palcami.

Ukucnął i delikatnie uniósł jej rękę. Wsunął łyżkę pod przedramię, aby móc owinać taśmą.

- Wiara w coś takiego, jak na przykład uzdrawiająca moc drzew, to jedna sprawa - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale opowieści, jakobyś była prawdziwą czarodziejką, karmią jedynie chore fantazje Bena.

Nagle J.B. poczuł, że ręka, którą trzymał dłoń Siobhan, zaczyna go palić żywym ogniem. Po skórze przemknęły małe białe iskry.

Do licha, jak to możliwe? - zdumiał się. Tysiące pytań wirowało mu w głowie. Nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

Siobhan zamknęła oczy. Wyglądała na skoncentrowaną. Patrzył, jak otaczające ją światło przesuwa się. Panowała całkowita cisza. Po chwili promienie i gorąco zniknęły. Patrzył na rękę Siobhan z niedowierzaniem.

- Czujesz się lepiej, Sisi? - zapytał Ben.

- Tak, kochanie. - Wyglądała na zmęczoną, ale bardzo dumną. - Naprawiłam złamaną kość i zmniejszyłam ból.

- Czy czarodziejki mogą także składać czyjeś połamane kości i łagodzić ból?

Zerknęła na J.B. i powoli wstała z ziemi.

- Kiedyś mogłam pomagać osobom, które miały niewielkie rany. Dzisiaj po raz pierwszy wyleczyłam tak poważne obrażenia. Kilka godzin temu odzyskałam moją moc.

J.B. zmarszczył czoło. Głowa mu pękała od nadmiaru myśli. Przypomniawsobie, że kilka godzin temu uprawiał seks z Siobhan. Czyżby to oznaczało, że odczucia, których wtedy doznał, były tak niezwykle i wyjątkowe z powodu magii? Nie, pomyślał, to niemożliwe. Nigdy nie uwierzy w takie cuda. Magia nie istnieje, przekonywał sam siebie. Nie mógł się przecież zakochać w... w... czarodziejce.

- Czy możesz sprawić, żeby duchy odeszły? - zapytał Ben drżącym głosem, jednak na dnie tego strachu czaiła się nadzieja.

- Nie wiem, kochanie. Nigdy jeszcze tego nie próbowałam - powiedziała

szczerze. - Ale obiecuję, że zrobię absolutnie wszystko, co w mojej mocy. -
Zwróciła się do J.B. - Jeśli mi na to pozwolisz...

- Jeśli na co ci pozwolę? - spytał, odzyskawszy wreszcie głos. - Jak, u diabła, możesz odprawić ducha, który nie istnieje, za pomocą magii, której nie masz?

- A zatem jak wyjaśnisz to? - Podniosła rękę i pokręciła nią na wszystkie strony. Zdrową rękę.

I J.B. musiał przyznać, że nie potrafił tego wytłumaczyć. Nie było na to logicznego wyjaśnienia, a jak zawsze odrzucił wszystkie nielogiczne warianty. Siobhan nie mogła być czarodziejką. To się po prostu nie mieściło w głowie. Z drugiej strony widział, jak sama siebie wyleczyła. To nie miało sensu. Choć instynkt podpowiadał mu właściwe rozwiązanie, próbował zachować spokój i wyjść z twarzą.

- Widocznie rana nie była na tyle poważna, jak nam się zdawało.

- J.B., przejrzyj na oczy!

- Owszem, patrzę i widzę. I robię wszystko, żeby mój syn stapał twardo po ziemi, a ty mi w tym nie pomagasz!

- Jeśli nie możesz zaakceptować tego, co się stało z Gabrielle i z Benem...

- Patrzyła na niego, szukając zrozumienia. Po chwili jej wzrok pociemniał i dodała ze smutkiem: - Jeśli nie możesz zaakceptować mnie takiej, jaka jestem, to nie ma już dla nas przyszłości.

- Co to znaczy? W głosie Bena słychać było przerażenie. - Czy Sisi nie będzie już z nami rodziną?

J.B. czuł, że krew dudni mu w żyłach. Siobhan patrzyła mu prosto w oczy, a on nie chciał się poddać. Jednak sytuacja przytłaczała go ponad wszelką miarę.

Czyżby rzuciła na mnie urok? - zastanawiał się gorączkowo.

Zignorował pytanie Bena i zwrócił się wprost do Siobhan:

- Muszę zrobić to, co według mnie jest najlepsze dla mnie i dla mojego syna. Masz rację, nie ma już dla nas przyszłości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kilka dni później Siobhan wyjrzała z okna salonu i zobaczyła J.B., który stał przy otwartych drzwiach dżipa.

- Chodź, wsiadaj do samochodu.

Ben stał w połowie drogi i patrzył na jej dom. Wyglądał na nieszczęśliwego. Z ciężkim sercem przycisnęła dłoń do szyby. Ben podniósł rękę, żeby jej pomachać, ale ojciec znów go ponaglił:

- Ben, pośpiesz się!

Zawahał się, ale J.B. był niewzruszony. Ledwie spojrzał w stronę okna, w którym stała. Miała włączoną lampkę, więc z całą pewnością mógłby ją zobaczyć. Gdyby tylko chciał.

Ben ruszył powoli w stronę samochodu, ale zatrzymał się, kiedy ujrzał matkę stojącą tuż obok J.B. W przeciwieństwie do chłopca Gabrielle machała do Siobhan radośnie, śmiejąc się z triumfem.

Powiedziała coś, co sprawiło, że Ben przygarbił się i wykrzywił usta, wsiadając do dżipa. To, co zdziwiło Siobhan najbardziej, to fakt, że J.B. odwrócił się i zdawał się patrzeć prosto w przezroczystą postać zmarłej żony. Stał całkowicie bez ruchu, jedynie oczy poruszały mu się na wszystkie strony. Później wzdrygnął się, pokręcił głową i wsiadł do samochodu.

Kiedy patrzyła za odjeżdżającym dżipem, czuła coś więcej niż tylko powiększający się dystans między nimi. Od trzech dni niemal nie widywała Bena i J.B. Nie wynikało to z tego, że ich unikała. Była po prostu bardzo zajęta uzupełnianiem zapasów do sklepu oraz nadrabianiem zajęć. Teraz wreszcie

miała na to czas.

Jednak J.B. zdecydowanie jej unikał. Dzwoniła kilka razy, żeby zapytać, jak się miewa Ben. Chciała też oczywiście usłyszeć głos J.B. Jednak za każdym razem odzywała się automatyczna sekretarka, choć Siobhan wiedziała, że J.B. był w domu.

Jej moc przewidywania przyszłości, choć nie tak silna, jak moc uleczenia, wzmocniała się z każdym dniem. Miała kolejną wizję. Tym razem widziała Bena, jak leży na trawie, ale czuła, że kobieta, która stoi obok chłopca, nie jest nią. Musiał być jakiś sposób, żeby pozbyć się Gabrielle.

Jak na wezwanie pojawiła się nagle przed jej oknem. Siobhan poczuła, że puls jej przyspiesza ze strachu, ale wiedziała, że dom jest chroniony. Uchyliła więc okno.

- To jest mój mąż i mój syn! Mój, słyszysz?! - krzyknęła zjawa. - Czekałam na drugą szansę i nie pozwolę, żebyś mi w tym przeszkodziła. Bez ciebie na drodze odzyskam moją rodzinę.

- Ale co J.B. i Ben będą z tego mieli? - spytała cicho. - Wspomnienia tylko im szkodzą. Oni, a także ty, musicie się z tym pogodzić.

Gabrielle spojrzała na nią. Jej twarz pociemniała z gniewu.

- Czy ci się wydaje, że jesteś dla nich przepustką do szczęścia?

- Być może... Sama nie wiem.

- Nie pozwolę ci jeździć z Benem na szkolne wycieczki. Myślisz, że to ty będziesz go uczyła prowadzić samochód? To ty będziesz mu gratulować, kiedy zda ostatni egzamin w szkole? - Głos ducha kipiał z nabrzmiałych emocji, a jej oczy ciskały pioruny.

Siobhan pozwoliła, aby ta gorycz wypłynęła z Gabrielle.

Dopiero po chwili powiedziała:

- Wiem, że tego nie chcesz, ale sprawiasz, że Ben jest nieszczęśliwy. A krzywdząc Bena, krzywdzisz także J.B.

Jednak zatopiona w rozpaczy Gabrielle zupełnie jej nie słuchała.

- To z tobą będzie tańczył na swoim weselu.

Pewnego dnia będziesz trzymała na ręku jego dziecko. Będziesz przy nim, kiedy będzie cię potrzebował, i we wszystkich najważniejszych momentach w jego życiu. Nienawidzę cię za to! Nienawidzę! Nienawidzę!

Trudno było pozostać obojętnym wobec takiego wybuchu gniewu. Zdawało się, że to cierpienie jest nie do zniesienia. Szare cienie wewnątrz zjawy pociemniały. Siobhan przestraszyła się, co może się stać, jeśli wszystkie kolory ulecą z Gabrielle. Zaczęła więc przywoływać uzdrawiając moce, kiedy za plecami usłyszała pełen przerażenia krzyk:

- Nie, wnuczko! Nie dotykaj tej Wstrętnej Rzeczy! - Odwróciła się i zobaczyła twarz Anity Dziesięć Koni w ogniu na kominku. Babcia uniosła prawą rękę i zdawała się gromadzić płomienie, które kłębiły się wokół niej. Ogień zmienił się w żarzącą się kulę, kiedy opuściła rękę. - Odsuń się! - zażądała.

- Zaczekaj, mogę jej pomóc! - krzyknęła.

Siobhan stanęła z rozpostartymi ramionami, blokując dostęp do okna. Po chwili obróciła się, trzymając swoją ognistą kulę.

Gabrielle spojrzała na nią zdziwiona i zniknęła, Siobhan opuściła ręce z westchnieniem żalu, zamknęła okno i opadła na krzesło. Anita także schowała kulę i patrzyła na wnuczkę.

- Co ty sobie myślałaś? Wstrętnych Rzeczy trzeba się bać. Wezwałam mnie na pomoc, a jednocześnie zignorowałaś mądrość naszego ludu. Siobhan otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie została dopuszczona do głosu.

- Duchy, które próbują przejąć czyjeś ciało, są niezwykle rzadkie, Anito.

- Tak jak twoja punktualność, Charlotte.

- Cóż, nie wszyscy jesteśmy doskonali.

Siobhan rozejrzała się w poszukiwaniu źródła tego głosu.

- Babciu Char, gdzie jesteś?

- Tutaj, kochanie. W najbliższym płynie, jaki mogłam znaleźć.

Spojrzała na wazę z rosołem, która stała na stole. Charlotte zamachała do niej spomiędzy makaronu pływającego w zupie.

- Więc mamy tu problem z jakimś maleńkim duchem?

Płomienie buchnęły mocniej z kominka.

- Nie możemy tego zbagatelizować. Duchy są kumulacją złośliwych cech ludzkiej duszy. Przynoszą pecha i powodują choroby.

Charlotte przewróciła oczami tak, żeby Anita nie mogła tego widzieć.

- To nieuchwytna część każdego z nas, dzięki której jesteśmy wyjątkowi i która nie umiera razem z ciałem - tłumaczyła. - Duch jest po prostu inteligentną świadomością, w połowie energią i materią.

- Co mogę zrobić, żeby pomóc Gabrielle? Żeby pomóc nam wszystkim?

Siobhan opowiedziała im, co się wydarzyło, również i to, co miało miejsce podczas Halloween.

- Ty po prostu jesteś zakochana! - Charlotte kołysała się do przodu i do tyłu. - Och, jak cudownie!

- Wcale nie czuję się cudownie. To boli.

- Siobhan podkulila pod siebie bosc stopy. - Ufałam mu, ale on nie potrafi zaakceptować tego, kim jestem.

- Czy możecie nie odbiegać od tematu? - mruknęła Anita spomiędzy płomieni.

- Nie martwiłabym się zachowaniem twojego mężczyzny, kochanie - ciągnęła czarodziejka.

- Po prostu po raz pierwszy zetknął się z magią. To tylko kwestia czasu, zanim do tego przywyknie. A teraz podziel się z nami kilkoma pikantnymi szczegółami. Czy jest dobry w łóżku?

- Babciu Char!

- No dobrze, dobrze. - Odsunęła pływający wokół niej kawałek marchewki. - Siobhan, bądź tak dobra i nalej sobie kieliszek wina, żebyś mogła ci się przyjrzeć z bliska.

Ogień na kominku rozbłysnął jasnym światłem, posypały się iskierki.

- Nie ma czasu na głupstwa! Ta Wstrętna Rzecz musi zostać zniszczona.

- Czy możesz przestać ją tak nazywać, Anito? Ten duch. był kiedyś człowiekiem. Teraz nie może odejść, ponieważ boi się nieznanego.

Anita zignorowała wypowiedź Charlotte.

- Musisz przygotować Ceremonię Wroga. Dopóki tego nie zrobisz, nie będzie spokoju.

Siobhan założyła kosmyk włosów za ucho.

- Szanuję twoje rady, babciu, ale nadal nie jestem pewna, czy Gabrielle jest moim wrogiem. Myślę, że jest po prostu zagubiona, że się boi...

- No pięknie, najwyraźniej moja pomoc nie jest tu mile widziana.

- Babciu, nie obrażaj się. Przepraszam... Ogień błysnął gniewnie i Anita zniknęła.

Siobhan westchnęła ciężko.

- Pójdę i z nią porozmawiam - uspokajała ją Charlotte. - Nie martw się. A w kwestii ducha... Okaż jej współczucie, kochanie. Użyj duchowych mocy i zaprowadź ją do światła. A przy okazji przygotuj się dobrze na noc, która cię czeka. Miałam wizję, że twoje marzenia się spełnią.

Siobhan usłyszała trzask zamykanych drzwi od samochodu. Wyjrzała przez okno. J.B. i Ben wrócili. Trzymali w rękach papierowe kubki po napojach z baru. Odetchnęła głęboko. Ostatnie pół godziny spędziła na medytacji, prosząc o ochronę i wskazanie drogi.

Niestety nie otrzymała odpowiedzi na swoje prośby. Czowała, że ta pomoc będzie jej potrzebna, bo inaczej nie nakłoni J.B., by jej wysłuchał.

Zwiesiła na szyi kilka amuletów i tak uzbrojona zeszła po schodach.

Serce biło jej jak oszalałe. Kiedy wyszła na zewnątrz, zatrzymała się koło domu J.B., nie dając mu szans, żeby jej nie zauważył. Do oczu napłynęły jej łzy. Pomyślała, że tego właśnie pragnie: stać przed domem i czekać na powrót swojej rodziny. Miała nadzieję, że jest jakiś sposób, aby mogła ten cel osiągnąć.

- Cześć, J.B. Jak się udała kolacja?

- W porządku. - Odkaslnął nerwowo. - A jak ty się masz?

- Dobrze, ja... - Próbowała opanować drżenie głosu. - A ty?

- Okay. - Unikał jej wzroku.

- Miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać.

- To nie jest najlepszy moment. Siobhan udawała, że te słowa nie zrobiły

na

niej wrażenia, ale dystans, który ich dzielił, chłód w głosie i spojrzeniu J.B. sprawiły, że poczuła ukłucie w sercu. Szukała choć cienia nadziei na porozumienie, ale zobaczyła jedynie obcego mężczyznę zamiast swojego ukochanego. Kiedy spojrzała na Bena, poczuła się jeszcze gorzej. Chłopiec wyglądał, jakby był chory. Cienie wokół oczu kontrastowały z bladością cery. Spojrzał na nią, a w jego oczach dostrzegła pustkę i rozpacz. Instynktownie ruszyła ku niemu, chcąc go przytulić, ale chłopiec odsunął się, unikając jej dotyku.

- Hej, kochanie, jak się miewasz? - próbowała dotrzeć do niego w inny sposób.

- Nie powinienem cię już kochać, Sisi. - Jego głos był bezdźwięczny i cichy. - Nie mogę cię nawet lubić.

- Ben! - skarcił go J.B.

Chłopiec uciekł do domu. Siobhan czuła, że brakuje jej tchu. Marzenia nie tylko umarły, ale wręcz zostały zamordowane. Zaskoczona i wściekła zwróciła się z do J.B.:

- Jak mogłeś to zrobić? - krzyknęła przez łzy.

- Nie kazałem mu tego powiedzieć - bronił się, podchodząc do niej.
- Otrząsnęła się przed jego dotykiem, podobnie jak przed chwilą Ben.
- Rozumiem, nie wolno mu powtarzać tego, co mu powiedziałaś.
- Nie! Nigdy bym tego nie zrobił. - Przetarł twarz dłonią. -

Wytłumaczyłem mu, że już nie jesteśmy parą, ale nigdy nie powiedziałem, że wy nie możecie być przyjaciółmi.

- Czyli tak się sprawy mają. Między nami już wszystko skończone? -
Wzruszyła ramionami.

J.B. zastanawiał się nad tym od kilku dni. Kiedy Siobhan wyszła tamtej nocy, był zbyt uparty, żeby do niej zadzwonić. Później próbował się przekonywać, że dla Bena będzie najlepiej, jeśli Siobhan zniknie z ich życia. Teraz jednak, kiedy słyszał jej głos i zadane wprost pytanie, poczuł żal w sercu.

- Nie tego chciałem, ale...
- Ale nie możesz uwierzyć, kim jestem - dokończyła za niego.

Powiedziała mu o sobie całą prawdę. On po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości, że jest czarodziejką. Jednakże pomijając jego początkowy opór, nie mógł już podtrzymać, że jej nie wierzy. Przecież widział, jak wyleczyła swoją złamaną rękę. Nie był jednak mężczyzną, któremu z łatwością przychodziło przyznanie się do błędu. Z drugiej strony tęsknił za nią i pragnął, żeby wróciła do jego życia.

- Wiem, kim jesteś. Jesteś kobietą, którą kocham. - Nadzieja napłynęła mu do serca, kiedy zobaczył radość, jaką jego słowa w niej wywołały. - Jednak dobro Bena musi być dla mnie priorytetem.

Posmutniała i pokiwała głową.

- To o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Mam przeczucie... Cóż, obawiam się, że Benowi grozi niebezpieczeństwo. I chcę mu pomóc. Znam zaklęcia i kryształy ozdrowienia oraz inne magiczne przedmioty, które mogą pomóc.

Znowu zaczyna, pomyślał. Sama myśl, że miałby się ożenić z kobietą, która posługuje się magią, przerażała go i nie dawała spokoju.

- Potrzebuję czasu, Siobhan. Chciałbym ci uwierzyć, ale muszę mieć trochę czasu, żeby...

- Nie mamy czasu - przerwała mu. - Nie akceptujesz tego, że duch Gabrielle naprawdę się pojawia, ale na miłość do twojego syna, musisz w to uwierzyć.

Sisi sprawi, że mama odejdzie na zawsze, myślał Ben i czuł, że serce zaciska mu się w twardą kulę. Kochał mamę bardzo mocno, ale zawsze była zwariowana i nieraz go przerażała. On też czuł, że wariuje. Nie podobało mu się, że odrzucała Sisi i mówiła o niej złe rzeczy, wiedział jednak, że mama go potrzebuje. Powiedziała mu, że jest jej bezcennym aniołkiem i że zawsze będą razem.

Tata nigdy mu nie wierzył, kiedy mówił, że widzi mamę. A przecież nie kłamał. Naprawdę ją widział! Pragnął, żeby tata przestał patrzeć na niego jak na wariata. Ben czuł się samotny i przestraszony. Zupełnie nie wiedział, co z nim się teraz stanie.

Jeśli mama odeszła na zawsze, to pewnie jest w niebie. Dziadek Pendelton i Bóg się nią zaopiekują, pocieszał się. Zastanawiał się, że może i on powinien pójść do nieba. Tam byłby z mamą. Ale jak miałby się tam dostać? Nie chciał umierać, więc może był na to inny sposób? Niebo było bardzo wysoko. Musiał znaleźć odpowiednio długą drabinę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Tato! - zabrzmiał wysoki, piskliwy okrzyk przerażonego dziecka.

Był to dźwięk, który nawet wytrawnego żołnierza poderwałby na równe

nogi. J.B. pędził synowi na ratunek, a Siobhan dotrzymywała mu kroku. Drzwi od kuchni były otwarte. Wówczas zobaczyli obrazek, na widok którego ich serca na chwilę przestały bić ze strachu. J.B. wiedział, że choćby biegł najszybciej jak potrafi, i tak nie zdoła złapać syna.

- Szybko, J.B., szybko! - ponaglał go głos Gabrielle.

Później wszystko działo się jak na zwolnionych obrotach. Jedna z gałęzi drzewa, na której siedział Ben, pękła i chłopiec spadł z hukiem na ziemię. Dźwięk małego ciała obijającego się o twardą ziemię długo jeszcze dudnił im w uszach.

Ukląkł przy synu, desperacko próbując utulić go w ramionach, choć wiedział, że może zrobić mu jeszcze większą krzywdę.

Ben wyglądał tak, jakby spał, jednak z nosa i uszu sączyła mu się krew, sygnalizując, że stan jest bardzo poważny.

- Ben, czy mnie słyszysz? - J.B. modlił się w duchu o ratunek dla syna.

- Dzwon po pogotowie, J.B. - Siobhan stuknęła go w ramię, próbując nawiązać z nim kontakt.

J.B. choć rozumiał, co mówi Siobhan, nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Zastanawiał się tylko, czy Ben żyje.

- Nie mogę go zostawić - wydusił w końcu.

- Biegnij. Zaufaj mi i biegnij po pomoc!

Spojrzał w jej oczy i nie potrzebował już żadnego więcej zapewnienia. Popędził do domu. Przed oczami migaly mu obrazy z przeszłości: Ben jako czerwony i kwilący noworodek; pierwsze samodzielne kroczki; pierwszy dzień w przedszkolu; pogrzeb matki.

J.B. westchnął. Wiedział, że nie może stracić Bena. Przyśpieszył kroku.

Kiedy wrócił do Siobhan i Bena, nadal trzymał w ręku bezprzewodowy telefon. Był prawie pewny, że ma halucynacje, jednak bezsprzecznie widział zamgloną postać Gabrielle stojącą nad synem. Odwróciła się i spojrzała na J.B.

Nie, nie zabieraj mi Bena! - wołał w myślach i podbiegł do drzewa. Dotknął szyi syna, szukając pulsu. Poczul pod palcami słabe tętno.

Siobhan klęczała po drugiej stronie chłopca, mruczając coś w języku swojej babci. Prosiła, aby jej zaufał, ale twarz Bena była tak blada i pozbawiona życia. Serce zacisnęło mu się boleśnie. Po chwili poczuł uderzenie gorąca. Patrzył z niedowierzaniem, jak na końcach dłoni Siobhan pojawiły się białe iskry. W tej chwili nie tylko był pewien, że to widzi. Teraz wreszcie uwierzył w magię i moc tej kobiety.

Zaakceptował fakt, że Siobhan naprawdę była czarodziejką. I najwyraźniej miała moc uzdrawiania.

- Czy dasz radę sprawić, żeby Ben wyzdrowiał? - spytał z nadzieją.

Siobhan ledwie go słyszała. Jej serce łomotało tak głośno, że nic innego nie docierało do jej uszu. Nie była pewna, czy zdoła uleczyć Bena. Nawet poskładanie połamanej ręki wydawało się teraz błahostką. Sytuacji nie ułatwiała świadomość, że każdy jej ruch jest obserwowany przez J.B. i Gabrielle. Czowała frustrację i bezradność jak wówczas, gdy jej przyjaciółka Laurel miała wypadek.

- Pomóż mu, Siobhan. Potrafisz to zrobić - słyszała głos zjawy.

Skinęła głową i wyśpiewała ostatni wers Uzdrawiającej Pieśni. Kiedy skończyła, zauważyła, że usta Bena robią się coraz bardziej sine. Czas uciekał. Modliła się o wskazówki i siłę. Drżała na całym ciele ze strachu, lecz kurczowo trzymała woreczek z magicznymi kamieniami. Prawą rękę położyła na klatce piersiowej Bena.

Czowała, że otacza ją ból i agonia, strach, zimno i chaos.

Ponownie odetchnęła głęboko, chcąc przekazać życiodajną energię chłopcu nawet kosztem własnego zdrowia. Aura Bena była zniekształcona i pozbawiona kolorów. Łzy napłynęły Siobhan do oczu i stoczyły się po rzęsach. Musiała utrzymać koncentrację i zachować pozytywną energię, niezbędną do

uzdrawiania.

- Gdzie, do diabła, jest pogotowie? - W głosie J.B. słychać było panikę i maksymalne rozdrażnienie.

- Będą tu za chwilę - uspokajała go. I siebie samą.

Nie miała najmniejszego pomysłu, od czego powinna zacząć. Nie była lekarzem, a jednak czuła, że chłopiec ma połamane kości, pozrywane mięśnie, krwotok wewnętrzny, pęknięte płuco i obrażenia mózgu. Zaczynała ogarniać ją panika. Spojrzała na J.B. Był przerażony tak bardzo, jak pewnie jeszcze nigdy w życiu. I wiedziała, że liczy na jej pomoc. Wcześniej wyrażał swoją miłość w sposób tak zwyczajny, że żadne z nich nie przywiązywało do tych wyznań specjalnej wagi. Teraz miłość była wypisana na jego twarzy. A ona z podobną siłą kochała jego. I Bena.

Nagle poczuła przyływ siły i spokoju. Wizualizacja ametystowego kryształu sprawiła, że lawendowa łuna nad chłopcem przybrała kolor ciemnego fioletu. Później przywołała akwamaryny i turmalin i skierowała je ku głowie Bena. Krok po kroku złamania goiły się, a rany zablizniały.

Oddech Siobhan stał się krótki i urywany. Traciła siły, ale widziała, że czeka ją jeszcze dużo pracy.

Skoncentrowała się na płucach Bena, wyobrażając sobie ciepłe światło otaczające wnętrze chłopca. To samo zrobiła ze złamanymi kośćmi i stłuczonymi nerkami. Czuła dokonującą się zmianę i widziała efekty swoich starań. Wiedziała jednak, że Ben w każdej chwili może przejść na drugą stronę. Była zdeterminowana, żeby nie przerywać leczenia. Otoczyła chłopca żółtą, pomarańczową i czerwoną poświatą, myśląc o cytrynie i rubinie. Nie były jednak wystarczająco silne, niezależnie od tego, jak bardzo się starała.

- J.B., kocham cię, ale potrzebuję, żebyś mi uwierzył. - Podniosła lewą rękę. - Ponieważ nie mogę ocalić Bena sama.

- Ależ ja ci wierzę. I wierzę w ciebie. - Po raz pierwszy tak szczerze i

prawdziwie na nią spojrział. I czuł, że akceptuje ją taką, jaka jest. - Powiedz tylko, co mam zrobić.

Uścisnęła dłoń, którą do niej wyciągnął.

- Chwyć rękę Bena w taki sposób, żebyśmy stworzyli z naszych rąk obręcz.

- To wygląda bardziej jak trójkąt - zauważył przytomnie.

Gabrielle podpłynęła ku bezwolnemu ciału Bena i podała swą dłoń J.B., oferując pomoc. Z jego zachowania Siobhan domyśliła się, że wreszcie ją zobaczył i jest wstrząśnięty. Odwzajemnił jednak jej uśmiech, kiedy zobaczył, jak Gabrielle chwyta dłoń chłopca. Wówczas oboje spojrzeli na Siobhan.

- Teraz, kiedy więzy zostały stworzone, nie możemy ich rozerwać - zakomenderowała. - Po prostu skoncentrujcie się na tym, jak bardzo go kochacie i jak mocno pragniecie, aby wyzdrowiał.

Próbowała zachować spokój, ale kiedy zamknęła oczy, czuła siłę ich trójki przepływającą przez jej ciało i płynącą do Bena. Kolory wokół chłopca nabrały mocniejszej barwy. Nadzieja wypełniła jej serce i zmusiła do większej koncentracji.

W tej chwili jednak aura wokół Ben osłabła i zaczęła zanikać.

- Tracę go! - krzyknęła.

- Nie! - krzyknął zrozpaczony J.B.

Sygnał nadjeżdżającego ambulansu dobiegł ich uszu. Jednak karetka była jeszcze daleko.

- Nie wiem, czy... - Zawahała się, próbując opanować drżenie głosu.

- Gabrielle, zrób coś! - przerwał jej J.B. - To ty jesteś jego matką.

Obiecuję, że on cię nigdy nie zapomni! Przysięgam! Ale nie mogę stracić was obojga. Proszę! Sprowadź go z powrotem, zanim nie jest za późno.

Bri z oporem puściła rękę J.B. i Bena, jednak wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Musiała połączyć duszę chłopca z ciałem.

Wokół panowały pustka i cisza. Niepewność zagościła w jej sercu. Zastanawiała się, czy nie jest za późno. Może Ben już odszedł na stronę, skąd nie było powrotu? Wzdrygnęła się. Znalazła chłopca przed wejściem do tunelu światła, którego tak unikała. Stał tam sam, wyglądał na zagubionego i zdziwionego.

- Ben, chodź tu do mnie, skarbie! - zawołała.

- Mamo! - Podbiegł w jej stronę. Przytuliła go, próbując zamaskować strach.

- Co ty tutaj robisz, kochanie? Twoje ciało jest już niemal naprawione. Nie możesz go zostawić. Nie możesz zostawić taty.

Chłopiec spojrzał na nią oczami pełnymi łez.

- Sisi sprawi, że odejdziesz. Nie chcę, żeby tak się stało. Pozwól mi z tobą zostać, mamó, tak jak ty zostałaś ze mną. Obiecuję, że będę jej nienawidził i zrobię wszystko, o co mnie poprosisz.

- Nie mówimy, że kogoś niena... - przerwała wiedząc, że sama kłamie.

Mówiła o nienawiści bardzo często w ostatnich kilku miesiącach. Mówiła tak o kobiecie, która teraz zużywała każdą cząstkę swej energii, żeby uratować jej syna. Gabrielle wiedziała, że jedyną osobą, której naprawdę nienawidzi, jest ona sama. Ze wstydem zrozumiała, że unieszczęśliwiała Bena i J.B. Nie chciała, żeby bez niej byli szczęśliwi. Pragnęła, by na zawsze żyli z nią, choćby tylko emocjonalnie.

Boże, jaka ja byłam samolubna, pomyślała.

Wzięła Bena na ręce i otoczyła ramionami tak, jak go przytulała, kiedy był mały.

- Posłuchaj, skarbie. Myliłam się.

- W jakiej sprawie, mamó?

- To nieprawda, że nienawidzę Siobhan, i wcale nie chcę, byś ty jej nienawidził. Zrozumiałeś?

- Naprawdę? Zmusiła się do uśmiechu.

- Siobhan jest dobrą osobą. Gdybyś został ze mną, ona bardzo by za tobą tęskniła. Podobnie jak tata. Nie myślisz, że byłoby lepiej, gdybyś z nimi został?

- Może. - Wtulił się w nią mocniej. - Bardzo bym tęsknił za tatą, ale nie chcę kochać Sisi zamiast ciebie.

Ucałowała go w policzek, po czym pochyliła się, żeby spojrzeć mu w oczy.

- W miłości najcudowniejsze jest to, że można ją mnożyć, a nie dzielić. Możesz więc kochać tyle osób, ile chcesz, i nie musisz mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. To przeze mnie się tak czujesz. Przepraszam cię za to. Przeze mnie myślałeś, że musisz wybrać. Przepraszam, synku.

Otoczył ją ramionami. Kiedy zaczął nucić piosenkę, czuła jednocześnie radość i smutek. To była kołysanka, którą śpiewała mu, gdy był małym chłopcem. Zaczęła nucić razem z nim. Kiedy piosenka się skończyła, Ben odsunął się od matki na taką odległość, żeby widzieć jej twarz.

- A zgodzisz się, żeby Sisi była taką moją niby-mamą? - spytał z wahaniem. - Oczywiście nie będzie moją prawdziwą mamą, ponieważ to ty nią jesteś, ale... - Zabrakło mu słów. Nie chciał zranić matki, ale... no właśnie, ale.

Bri uśmiechnęła się do niego, by pokazać, że rozumie jego uczucia.

- Siobhan nie próbuje mnie zastąpić, kochanie, za to daje tobie i twojemu tacie szansę na szczęśliwe ziemskie życie. Jeszcze raz zyskacie tę szansę właśnie dzięki niej. A ja chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Ale mamo, ja nie mogę być szczęśliwy bez ciebie.

O usłyszeniu tych słów marzyła przez ostatnie dwa lata, ale Ben musiał zapłacić cenę za jej samolubność. Łzy napłynęły jej do oczu. Nie powinna wahać się z odejściem tak długo. Odsuwała tylko w czasie to, co nieuniknione, sprawiając, że było to dla wszystkich o wiele trudniejsze.

- Oczywiście, że możesz być szczęśliwy, synku. I wiem, że będziesz.

Poza tym nigdy nie będziesz beze mnie. Jeśli tylko zostawisz miejsce dla mnie w swoim sercu, to zawsze będę przy tobie. - Głos jej się załamał. - A ja zachowam cię w swoim sercu. W ten sposób na zawsze zostaniemy razem.

- Teraz możemy być razem. - Usta drżały mu w niemym szlochu, kiedy zrozumiał, że jej słowa oznaczają pożegnanie. Spojrzał w stronę światła, miejsca wiecznego spokoju. - Chcę tam pójść razem z tobą.

- Nie, aniołku. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Sprawileś, że moje życie było cudowne, Ben. I kocham cię bardzo, bardzo mocno. Ale masz teraz swoje życie. Wracaj tam, kochanie. Jeszcze nie czas na ciebie. Musisz wracać.

J.B. poczuł przypływ paniki, kiedy zobaczył, że Siobhan odsuwa rękę od jego dłoni. Była niemal tak samo blada jak Ben. Drżała na całym ciele z wysiłku. Kiedy Bri zniknęła, J.B. chwycił dłoń syna. Obiecali sobie przecież nie rozdzielić łączącego ich kręgu. Słyszał nadjeżdżającą karetkę.

- Nie poddawaj się, Siobhan - prosił. - Próbuj dalej!

Podniosła ku niemu zmęczone oczy.

- Wszystko jest już w porządku.

Zanim zdążył zapytać, co miała na myśli, pojawiła się Bri. Jej postać była przezroczysta, ale widoczna. Po jej twarzy toczyły się łzy. Widać było jednak, że jest spokojna.

- Do zobaczenia, J.B. Dbaj o naszego syna. - Spojrzała na Siobhan i dodała: - Oboje o niego dbajcie.

I zniknęła, pozostawiając za sobą srebrną smugę, która zatopiała się w ciele Bena. J.B. patrzył z radosnym niedowierzaniem, jak ukochany syn oddycha głęboko. Jego duże, brązowe oczy otworzyły się szeroko. Spojrzał na ojca, lecz się nie uśmiechnął.

J.B. pochylił się, żeby usłyszeć, co chłopiec szepcze.

- Mama poszła do nieba.

- Naprawdę? - spytał, z trudem opanowując wzruszenie.

- Tak. A ja chcę zostać z tobą i z Sisi.

- Dobrze to słyszeć.

Ben odwrócił się i spojrzał na Siobhan.

- Jestem zmęczony - powiedział.

- Ja też. - Uśmiechnęła się z trudem - Za chwilę przyjdzie tu lekarz. A teraz odpocznij.

Chłopiec zamknął oczy. Wydawało się, że zasnął. Dopiero wówczas Siobhan zabrała ręce z jego klatki piersiowej i opadła w ramiona J. B. Oboje płakali głośno.

- Myślałem... myślałem, że on już nie żyje. Jak to się stało? - szlochał J. B.

Otarła łzy z jego policzków

- Próbowałam ocalić Bena, ale nawet czarodziejka nie może pokonać śmierci. Miłość matki jest najpotężniejszą magią na świecie. To Gabrielle po raz drugi dała mu życie. Użyła wszelkich mocy i odeszła, żeby Ben mógł wrócić do nas.

J. B. pomyślał, kogo mógł stracić, i przytulił mocniej Siobhan do piersi. Drugą ręką gładził włosy syna. W uszach dźwięczały mu ostatnie słowa wypowiedziane przez Siobhan. Do nas.

Po śmierci żony nie chciał angażować się w żaden związek. Nie chciał ponownie przeżywać takiego bólu. Dzisiaj jednak dowiedział się, że jest szczęściarzem, bo zdarzyło mu się przeżyć miłość dwa razy. Nie chciał tej szansy zaprzepaścić. Miłość była w istocie najsilniejszą magią. Miał nadzieję, że doprowadzi ich do szczęśliwego zakończenia.

A więc jestem zakochany w czarodziejce, tłumaczył sam sobie. Tym właśnie była. Teraz mógł powiedzieć, że nie tylko akceptuje ten fakt, ale i go docenia. Ta czarodziejka rzuciła na niego swój urok, choć nie za pomocą eliksirów czy zaklęć, ale poprzez swoją dobroć, śmiech i hojność.

- Cieszę się, że powiedziałaś „nas”, Siobhan. Myślę, że teraz jest dobry czas, żeby ustalić podstawowe zasady naszego związku.

Spojrzała na niego spod rzęs.

- Tak sądzisz? - spytała kokieteryjnie.

- Tak. A więc te uzdrawiające zabiegi mają być zarezerwowane tylko dla prawdziwych wypadków. - Spojrzał na nią z udawaną surowością. - Nie myśl sobie, że będziesz robiła te wszystkie elektryczne tęcze z okazji każdego zadrapania. Ben i ja jesteśmy twardzielami.

- Oczywiście - zgodziła się ze śmiechem.

- A co do przewidywania przyszłości. Proszę, nie używaj tej mocy przy okazji twoich urodzin, Bożego Narodzenia oraz innych okazji, podczas których będę chciał zrobić ci prezent niespodziankę. Po prostu przekonasz się, co jest w środku, dopiero gdy otworzysz pudełko, jak wszyscy inni śmiertelnicy.

- Myślę, że jakoś sobie poradzę.

- W porządku. - Spoważniał. - Pragnę dzielić z tobą moje życie. Chcę z tobą wychować naszego syna i powołać do życia inne dzieci, które otoczmy opieką. Następna zasada brzmi, że musisz wyjść za mnie za męża, żebym mógł cię kochać do końca moich dni.

Uśmiechnęła się. W jej zielonych oczach odbijały się radość i spełnienie.

- Ja także cię kocham. Czy są jeszcze jakieś inne zasady?

- Tak, jeszcze jedna. Nie wolno ci nigdy, przenigdy, zamienić mnie w żabę.

EPILOG

- Do zobaczenia, panno Marion.

- Hm? - Spojrzała na młodą kobietę, która stała w drzwiach. - Och, tak.

Miłego weekendu.

- Dziś jest wtorek, panno Marion.

- Oczywiście, kochanie.

Siobhan pokręciła głową z rozbawieniem i pomachała na pożegnanie, wychodząc z pokoju nauczycielskiego. Mniej więcej od roku wykładała uzdrawianie, a jej zajęcia na temat eliksirów do ochrony skóry stały się bardzo popularne.

Marion była bardzo szczęśliwa, widząc, jak jej pupilka rozwijała magiczne umiejętności. Dostrzegła je późno, ale za to od razu okazały się nadzwyczajne. I, zgodnie z informacjami zawartymi w książkach z Archiwum, słodka i mądra Siobhan poślubiła mężczyznę o recesywnych genach magicznych.

Uśmiechnęła się, wspominając przekazywaną przez lata mądrość: Kto zna życie, miłość i szczęście, zna także magię. Nie było na świecie silniejszej magii od tej, która płynie z serca.

Przyszyła kolejną gwiazdkę do baldachimu dziecięcego łóżeczka. Musiała skończyć swoją pracę, a czasu nie zostało zbyt wiele. Zastanawiała się, czy Siobhan już przewidziała, że będzie miała trojaczki. Zapowiadało się, że ona, J.B. i Ben będą mieli mnóstwo roboty z trzema małymi skarbami.

Delikatny dźwięk kryształowych dzwoneczków oznajmił, że następna lekcja zacznie się za pięć minut. Poprawiła okulary w kształcie kocich oczu. Szczerze wątpiła w to, że córki Pendeltonów przyjadą kiedyś do jej Centrum, ale Marion będzie na nie zawsze czekać, gdyby jednak zdecydowały się tu zawitać.

Zasady Archiwum surowo zabraniały wtrącania się w prywatne życie uczniów, jednak przywiązując nitkę do spodu baldachimu, wypowiedziała starodawne zaklęcie miłości. To samo, które nie tak dawno mówiła, rzucając urok na mamę tych nienarodzonych jeszcze trojaczków...

